

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VII

Warszawa, 16 grudnia 1951 r.

Nr 50 (316)

Leon BRODOWSKI



CW 8013

»MISTERIUM CHRISTI ET VITAE«

W LISTOPADZIE rb. minęły cztery lata od ukazania się encykliki papieskiej „Mediator Dei” na temat liturgii oraz przeszło osiem lat od wydania przez tegoż Piusa XII związanej z zagadnieniem liturgii encykliki „Misticli Corporis Christi”.

Warto obecnie, na początku nowego roku kościelnego, zastanowić się nad niektórymi problemami obu wypowiedzi Ojca św., a przede wszystkim nad konsekwencjami wpływającymi z nich dla polskich katolików. I chociaż normowanie i organizacja liturgii jako publicznego kultu Kościoła są zastrzeżone wyłącznej kompetencji Hierarchii, to jednak i w tej dziedzinie wiele obowiązków ciąży na świeckich katolikach, o czym mówi Papież w swej encyklice o „Mistycznym Ciele” tymi słowami: „Pragniemy więc, by wszyscy, którzy Kościół uważają za Matkę, pilnie rozważali, że nie tylko szafarze sakramentów oraz ci, co Bogu poświęceni oddali się życiu zakonnemu, lecz także inne członki mistycznego Ciała Jezusa Chrystusa wedle działu przypadającego na każdego, mają obowiązek usilnie i gorliwie pracować nad budową i wzrostem tego Ciała”.

Nie zapomniamy przy tym jednak, że głównym inicjatorem i kierownikiem odrodzenia liturgicznego może i powinno być nasze duchowieństwo. Warto tu przypomnieć dosadną wypowiedź O. Jacka Woronieckiego, który w swej pracy pt.: „Program integralnej pedagogiki katolickiej” (Wrocławsk, 1947) pisał:

„Nie sposób bowiem spodziewać się, aby liturgia odgrywała w życiu wiernych tę rolę, która jej przypada w organizmie Kościoła, póki w życiu samego duchowieństwa nie odgrywa niemal żadnej roli”.

MISTERIUM CHRISTI

UŻYLIŚMY na samym wstępie wyrażenia: — odrodzenie liturgii — albowiem faktem jest, że to, co nazywamy kryzysem religijnym naszych czasów, nie tylko polega na rozerwaniu więzów łączących religię z kulturą, lecz także na spaceniu ducha samej cnoty pobożności. Od czasów Reformacji nie tylko życie świeckie, lecz także życie Kościoła uległo wpływowi indywidualizmu, w wyniku czego problem religijny sprowadzono wyłącznie do stosunku poszczególnych dusz do Boga. Zapominano o tym, że Kościół jest organizmem nadprzyrodzonym i społecznym razem.

Oto jak pisze o tym procesie wewnętrznego życia Kościoła ks. Władysław Kornilowicz („Chrześcijańska odbudowa świata w świetle nauki o Ciele Mistycznym” — rok 1938):

„Tym sposobem i duszpasterstwo było jednostronnie indywidual-

nym. Co najwyżej pośrednio, przez odrodzenie i udoskonalenie jednostek oddziaływało ono na zbiorowość. Dobro ogólne jako całość schodziło w cień wobec dobra jednostki — głównego przedmiotu wysiłków i zainteresowań duszpasterza. Praca duszpasterska zatraciała coraz bardziej swój charakter społeczny, wyzuwała się z elementów, mogących pogłębić więź społeczną między ludźmi i budzących sumienie wiernych w kierunku realizowania sprawiedliwości i chrześcijańskiego miłosierdzia”.

Takie oddziaływanie spraw religijnych i społecznych — jak stwierdza dalej ks. Kornilowicz — „jest obce samej istocie Kościoła, który przedstawia najdoskonalsze połączenie pierwiastka socjalnego z nadprzyrodzonym”.

W ślad za oderwaniem elementu nadprzyrodzonego od elementu społecznego naszej religii nastąpiło nieuchronnie skrzywienie życia nadprzyrodzonego wiernych w kierunku nabożności „antropocentrycznej”, mającej na wzięcie nie budowanie Królestwa Bożego, lecz jakiegoś subiektywne „bogoskatełstwo” — zaspokojenie wewnętrznej potrzeby uczuć religijnych.

Dalszy proces kształtowania się naszej pobożności jako konsekwencja tego indywidualizmu doprowadził nas do sentymentalizmu i fideizmu.

I jeśli encykliki nawołują, ażebyśmy wrócili do pobożności liturgicznej, to właśnie dlatego, że jest ona wyrazem religijności autentycznej, pobożności „teocentrycznej”. Tak o tym czytamy w encyklice „Mediator Dei”: „Niechaj więc w pobożności panuje ład i porządek i niech wszystko układa się, że tak powiemy, „teocentrycznie”. Jeśli istotnie chcemy, by wszystko obróciło się na chwałę Boga”.

ENCYKLIKA o „Mistycznym Ciele Jezusa Chrystusa” potwierdziła kategorycznie słuszność tego nurtu wewnętrznego odrodzenia katolicyzmu, który w naszych czasach zaczyna rozumieć fatalne skutki przeindywidualizowanego stosunku do życia religijnego.

Nowe pokolenie pragnąc dążyć świadomie do realizacji zasad chrześcijańskich w życiu społecznym na ziemi, jako drogi do Królestwa Bożego po zakończeniu historii, jednocześnie zdaje się coraz lepiej rozumieć istotę i rolę Kościoła — Mistycznego Ciała Chrystusa. Będąc fundamentem odrodzenia chrześcijańskiego życia społecznego oraz źródłem świętości osobistej wiernych — Kościół jest wzorem mistycznym przysługującym Królestwu Bożemu.

Jesteśmy obecnie świadkami ożywienia się w Polsce zainteresowań Biblią a szczególnie Nowym Testamentem — katolika Ewan-

gel'e stają się coraz bardziej nieodłącznym składnikiem nasycen domowych bibliotek i codziennym pokarmem intelektualnym wszystkich wiernych.

Nowy Testament mówi nam o Chrystusie historycznym, uczy nas zasad życia chrześcijańskiego. Ażeby jednak religia była dla nas źródłem pełnego życia a nie tylko wzniosłą filozofią, ewangeliczne zasady winny się w nas przekształcać w chrześcijańskie obyczaje. I to właśnie liturgia poprzez aktualizowanie w naszym życiu w kolejnych cyklach każdego roku tajemnic Chrystusa uczy nas życia z wiary. Ruch więc liturgiczny jest jak gdyby pogłębieniem ruchu biblijnego. Można na tym miejscu stwierdzić, że jeśli chcemy wychować siebie w postawie społeczeństwa, musimy przede wszystkim uspołecznić nasz typ religijności poprzez mocne oparcie się o życie liturgiczne Kościoła.

AKTUALNOŚĆ ENCYKLIKI „MEDIATOR DEI”

PRZYGLĄDAJĄC się życiu religijnemu kilku ostatnich lat w Polsce, musimy, niestety, dojść do niezbyt pocieszającego wniosku, że mimo wydania po wojnie „Konstytucji Liturgicznej” — nasz ruch liturgiczny w porównaniu z okresem przedwojennym raczej osłabł. Właściwie nie mamy żadnej planowej i świadomej akcji liturgicznej. Znany mi jest wypadek, że w jednej z parafii obejmującej inteligencję katolicką z wyższym wykształceniem miał miejsce niedawno fakt zorganizowanego „protestu” wiernych przeciwko proboszczowi z powodu wprowadzenia przez niego Mszy św. recytowanej. Posługiwane się Mszałem jest w dalszym ciągu wśród katolików polskich raczej rzadko spotykane. Tylko w bardzo nielicznych parafiach odbywają się Msze święte śpiewane po gregoriańsku. W dalszym ciągu wielu jeszcze duszpasterzy wygrasza na Mszy św. kanzala niezwiązane wcale z myślą przewodnią, wypływającą z liturgii danego dnia. Mimo, że w r. 1945 został dokonany nowy przekład Psalterza z oryginału hebrajskiego, co powinno stać się dużym wydarzeniem w życiu katolików, w dalszym ciągu znajomość, a tym bardziej posługiwane na codzień psalmami, należy u nas do bardzo rzadkich wyjątków. Religijny śpiew ludowy, którym moglibyśmy się słusznie szczycić wobec innych narodów, i który jest tak zalecany w Encyklice „Mediator Dei”, ma w Polsce tę zasadniczą wadę, że nie opiera się na solidnej bazie jednolitych tekstów i jednolitych melodii. Cześć Matki Bożej za mało jest oparta na rzetelnej znajomości dogmatów mariologicznych, a kult świętych — jak pisał niedawno na tych łamach Jerzy An-

drzej Górski — opiera się więcej na legendach niż na prawdziwej wiedzy hagiograficznej.

W tym stanie rzeczy Encyklika „Mediator Dei” powinna się stać przełomem dla życia religijnego w Polsce.

Tymczasem niektórzy jej czytelnicy w Polsce zrozumieli z niej tylko tyle, że potępia ona szereg spacznień i błędów w ruchu liturgicznym. Niektórzy nawet ośmielili się sugerować, że Encyklika jest wyrazem sprzeciwu w stosunku do pobożności liturgicznej. I jak gdyby w przewidywaniu takich błędnych interpretacji Encyklika zawiera następujące zdanie, na które warto zwrócić uwagę: „Niechaj jednak opieszali i gnuśni nie sądzą, że ich chwaliły wtedy, gdy ganiły błędzących lub hamująco zbyt śmiały; podobnie i nieroztropni niechaj nie myślą, że cieszą się naszym uznaniem wtedy, gdy karchony niedbały i leniwych”.

My to właśnie, pośród innych narodów, należymy w zakresie życia liturgicznego do „niedbałych i leniwych”. W świetle wskazań Encykliki jasne jest, że naszą polską skłonność do modlitwy prywatnej można doskonale, nie niszcząc jej, podporządkować wspólnej modlitwie Kościoła. „Jakże daleko jest święta liturgia — czytamy w Encyklice „Mediator Dei” — od powściągnięcia poufnego uczuć poszczególnych chrześcijan...”. Modlitwa prywatna może być najlepszym przygotowaniem do świadomego udziału w modlitwie społecznej Kościoła.

Jeśli dzisiaj kładziemy tak wielki nacisk na konieczność realizacji społecznych nakazów naszej religii, wypływających z miłości Boga i bliźniego, to podkreślając doniosłość życia religijnego oparte na liturgii, musimy baczenie śledzić, ażeby styl naszej pobożności nie zwalniał nas od trudu usilnej pracy nad kształtowaniem własnego charakteru, ażeby przeciwnie, łączył się z postawą czynną w naszym życiu wewnętrznym. Życie liturgiczne nie może mieć nic wspólnego z kwietyzmem, wyraźnie napiętnowanym w Encyklice o „Mistycznym Ciele Chrystusa”. Liturgia nie jest przeznaczona dla garstki pięknoduchów — jakiejś arystokracji duchowej — lecz ma być dostępną dla wszystkich bez wyjątku członków Kościoła. Inna rzecz, że teksty ksiąg liturgicznych, że muzyka kościelna czy sztuka religijna stanowią niewyczerpaną skarbnicę piękna, mogącego zapładniać twórczość największych poetów, muzyków czy plastyków.

Życie liturgiczne systematycznie i rytmicznie kształtując nasze uczucia estetyczne wyzwala tkwiącego w każdym z nas artystę i podnosi na wyższy poziom nasze życie reli-

W NUMERZE m.in.:

J. ZABŁOCKI — Uwagi o panującej metodzie

Z. LICHNIAK — Na gładkich torach poprawności

A. GERARD — Widzenie i wzruszenie

L. BOSE — Bilans wielkiej katastrofy

A. LEPKOWSKI — Na plebanii

B. KOLEC — Wieczory pod lipą

gijne, pogłębiając jednocześnie w nas zdolność stosowania zasad religii w życiu codziennym. Niech o tym świadczą też opinie O. Woronieckiego o wartości wychowawczej śpiewu gregoriańskiego:

„Śpiew gregoriański nie powinien mieć charakteru popisów przed kimś. Msza święta śpiewana po gregoriańsku to modlitwa całego zgromadzenia wiernych — słuchaczem jest jeden Bóg, do którego się wznosi. Piękno jej na tym właśnie polega, że wszystkie głosy zlewają się w jedną potężną całość, w której śpiewu poszczególnych osób nie słychać, a tylko śpiew całości, świadczącej przed Bogiem, iż są oni jedną duszą i jednym ciałem. I to jest właśnie tak ważne pod względem społecznym: cała trudność pracy społecznej na tym najczęściej polega, że jednostka nie chce się podporządkować całości, ale pragnie się wyróżnić i tym rozsądza organiczną jedność grupy społecznej, w którą pracuje — pragnie ona, aby jej działalność pozostawała bardzo widoczną w działaniu całości, aby, broń Boże, nie przeszła niepostrzeżenie”.

MISTERIUM VITAE

AŻEBY w pełni zrozumieć znaczenie liturgii dla naszego życia trzeba jasno zdać sobie sprawę z tego, że — jak mówi Encyklika „Mediator Dei” — „Święta liturgia pokazuje nam całego Jezusa we wszystkich okolicznościach Jego życia, a więc Tego, Który jest Słowem Ojca Przedwiecznego, Który urodził się z Bogarodzicy Dziewicy, Który nas prawdy uczy, chorých leczy, pociesza dotkniętych smutkiem, Który cierpi ból i umiera, następnie Tego, Który odniósłszy triumf nad śmiercią zmartwychwstał, Który królując w chwale nieba, zsyła na nas Ducha Parekleta, Który na wieki żyje w Kościele swoim: „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, On sam i na wieki” (Z listu św. Pawła do Hebrajczyków 13, 8). „Toteż rok liturgiczny — mówi dalej Papież — żywion nieustającą pobożnością Kościoła, nie jest zmiennym, bezwładnym przedstawieniem spraw tyczących się minionych czasów, ani też prostym i czczym przypomnieniem wypadków z dawnych wieków. Jest to raczej sam Chrystus, który trwa w Kościele swoim.”

Poprzez tajemnicę Mistycznego Ciała Chrystusa, uwidocznioną w liturgii Kościoła, poznajemy głębiej Misterium naszego własnego życia, które w najistotniejszej swojej treści poprzez pracę, modlitwę i cierpienie ma dopełniać to, czego — jak mówi Apostoł Narodów — „nie dostaje utracieniom Chrystusowym”.

NA MARGINESIE KSIĄŻKI GEN. GUDERIANA

NIEDAWNO wydana książka generała Guderiana, głównego doradcy wojskowego w Bonn, przewidzianego przez Amerykanów przyszłego dowódcy odtworzonego Wehrmachtu. „Czy Europa Zachodnia może być broniona?“, wywołała w świecie demokratycznym powszechne oburzenie. Bije z niej brak logiki, obfity pychy, nienasycona zachłanność na cudze ziemie i gwałtowna żądza wywołania nowej zawieruchy wojennej, aby „walczyć za Europę“ po raz trzeci niszcząc tę Europę.

Zdawałoby się, że generał, tak sromotnie pobity aż w dwóch wojnach, skupi się w sobie i zastanowi się głębiej nad tym, co należy uczynić, aby w przyszłości uniknąć takiej kompromitacji. Zastanawiając się, autor tej książki uczynił rachunek sumienia, uderzył się w pierś i szukać będzie warunków współżycia z innymi narodami, które w ciągu dwóch minionych wojen były tak dziko plądrowane, niszczone, ruinowane, łepione i palone w krematoriach.

Tymczasem generał Guderian żąda, aby żołnierze, którzy byli pod jego dowództwem, „trzymali się z podniesioną głową, jak niegdyś na paradzie“.

Zwyczajnym śmiertelnikom się wydaje, że z podniesioną głową może chodzić ten, kto uszczęśliwia nie tylko swój naród, ale również wszystkie narody na świecie. Kto zaś w ciągu czterdziestu wywołał dwie wojny światowe, zostawił miliony świeżych mogił, miliony płaczących wdów i sierot, miliony kalek-inwalidów niezdolnych do pracy, gromady gruźlicy i popiołów po spalonych miastach i osiedlach ludzkich, kupy cerezów po bezczynnych pomnikach sztuki i kultury, których oko ludzkie już nigdy nie ujrzy, ten powinien wzdąć wosiennicę i opuścić głowę bardzo nisko. Ale zwyciężony dwukrotnie generał inaczej sądzi...

Nie jest zadaniem niniejszych uwag szczegółowo krytykować książkę generała Guderiana, bo to zajęłoby zbyt wiele miejsca i czasu, ale niektóre poglądy są wypowiadane w niej w taki sposób, że w imię prawdy nie mogą zostać bez odpowiedzi.

Od zakończenia drugiej wojny światowej upłynęło siedem lat. Cały świat orzekł, że Hitler był największym zbrodniarzem, a „czyny“ jego — największymi zbrodniami. Widocznie sam Hitler tak ocenił swoje „czyny“, bo nie czekając sądu, sam wymierzył sobie karę. Jego najbliżsi pomocnicy ponieśli najsromotniejszą śmierć, jakiej dotychczas nigdy nie wymierzono biorącym udział w działaniach wojennych.

Toteż biorąc pod uwagę „czyny“ Hitlera i hitlerowców, jeszcze nikt jawnie nie wystąpił w ich obronę. Dopiero pierwszy generał Guderian nie tylko wystąpił w obronę największego zbrodniarza, ale głosi, że „Hitler przysłużył się Europie“.

„Można sądzić, jeśli się chce, czyny Hitlera, ale walka jego przysłużyła się Europie — woła autor tej osobliwej książki. — Nasi towarzysze walczyli i umierali za Europę...“

Co uczynił Hitler, że zasłużył nie tylko na obronę, lecz na tytuł dobrodzieja Europy?

Odpowiedź na to pytanie jest aż nadto jasna: zburzył gruntownie pół Europy, położył trupem wiele milionów osób, wiele milionów uczynił kalekami, straty materialne spowodowane przez niego osiągały sume wielu miliardów — cierpień moralnych nikt nie policzy, założyl obozy koncentracyjne w Majdanku, Treblince, Oświęcimiu, Buchenwaldzie, Dachau, Mauthausen, Ravensbrück... w obozach tych maltretowano niewinnych ludzi w niebывale okrutny sposób, poniewierano ich godność osobistą: w Ravensbrück dręczono kobiety i robiono na nich doświadczenia, jak na królikach, w Oświęcimiu mordowano i palono ludzi w krematoriach Spalono w nich przeszło 4 miliony osób różnych narodowości.

A więc dziesiątki milionów ofiar ludzkich, morze przelanwch też, miliardowe straty materialne, to według postula generała Guderiana, ma być przysługą, oddana Europie?

Widocznie generał Guderian zapomniat, za co oskarżano w No-

rymberdze Hitlera i hitlerowców oraz jakie tam przytaczano fakty o czynach zbrodniczych, a więc najważniejsze ustępy z tych oskarżeń przypomnę:

Nawet prokurator amerykański, Robert Jackson, musiał stwierdzić w Norymberdze: „Dwadzieścia kilka minionych lat będzie zapisane w historii jako lata najkrwawsze w dziejach ludzkości. Dwie wojny światowe pozostawiły bowiem spuściznę trupów większą, niż kiedykolwiek w starożytności — w średniowieczu. Żaden wiek, żadne stulecie nie było świadkiem takich morderstw, takich okrucieństw, takiego niewolnictwa i takiego niszczenia mniejszości narodowych. Terror Torquemado błędnie wobec inkwizycji hitlerowskiej. Jeżeli nie uda się nam przekroczyć powtórzeniu tych barbarzyńskich wypadków, wiek XX może stać się zagładą cywilizacji...“

Zaś prokurator radziecki Rudenko oskarżał:

„Każdy z 21 oskarżonych ponosi odpowiedzialność indywidualnie za popełnione zbrodnie. Oskarżeni wydawali rozkazy, podwładni wykonywali brudną robotę. Goering niszczył bezlitośnie wszystkich przeciwników Hitlera, stworzył gestapo i obozy koncentracyjne. Organizował deportacje robotników cudzoziemskich i pobudzał wojska, aby zachowywały się jak zgłodniałe wilki dopóty, dopóki pozostawało coś do zrabowania... Jeżeli komendant Oświęcimia wyrwał zamordowanemu złote zęby, to minister skarbu Funk otwierał skrytki w podziemiach Banku Rzeszy, aby tam schować wyrwane zęby... Po raz pierwszy w historii narody sądził tych, którzy wielkie obszary ziemi zaleli krwią, którzy zamordowali miliony ludzi niewinnych za pomocą specjalnych tortur, którzy zniszczyli skarby kulturalne i pograżyli świat w otchłań niebывałych zniszczeń...“

Ale nic na świecie nie ma stałego, wszystko z biegiem czasu się zmienia. Toteż i miliony Niemców się zmieniły. Niemcy wschodni zaczęli żyć w sposób demokratyczny i szanować prawa międzynarodowe: zawarli umowę przyjaźni z najbliższymi sąsiadami i wezwali wszystkich Niemców, aby zawrócili z fałszywej drogi, po której dotychczas szli i zaczęli postępować z sąsiadami w taki sposób, w jaki by chcieli, aby sąsiedzi z nimi postępowali.

×

22 sierpnia 1939 r. na tajnym zebraniu, na którym byli obecni generałowie i najwyżsi dostojnicy socjalizmu narodowego, wygłosił Hitler „wzniosłą“ mowę, którą chyba generał Guderian pamięta, a w której między innymi powiedział:

„Zawierałem paktw jedynie dlatego, żeby zyskać na czasie. Pakty dotrzymuje się tak długo jak długo są korzystne... Na wojnie jest ważne nie Prawo, lecz Zwyczajstwo. Silny zawsze ma prawo za sobą... Dżengis-Chan spowodował śmierć milionów kobiet i dzieci decyżją swej woli i w pogodzie ducha. Historia widzi w nim jedynie wielkiego wodza...“

Hitler oraz jego horda nie tylko poszli śladami Dżengis-Chana, ale znacznie go przewyższili, zniszczenia bowiem i okrucieństwa, dokonane w XIII wieku przez Tatarów, są dziecinną igraszka w porównaniu z tym, czego dokonali hitlerowcy w XX wieku.

Na sądzie w Norymberdze przeczytano wiele ciekawych dokumentów, wśród których jest Dziennik generalnego gubernatora Franka. Oto są wyjątki:

„2.XII. 1939 r. Przewodnim celem mojej pracy w Polsce jest wola Führera, aby ten kraj został pierwszą kolonią niemiecką na wschodzie“.

„25.I. 1943 r. Osiedlwszy w tym kraju Niemców, wyrugujemy stąd Polaków. Z początku zamknemy ich w obozach koncentracyjnych, a potem wyślemy do ciężkiej pracy w Rzeszy“.

„21.I. 1944 r. Gdy wygramy wojnę, wtedy Ukraińców i Polaków można będzie przerobić w sekane mięso“.

„25.II. 1944 r. W Pradze zostały rozlepione czerwone plakaty o rozstrzelaniu 7 Czechów. Gdybym ja wydał rozkaz wywieszania plakatów o każdym siedmiu rozstrze-

lanych Polakach, to w Polsce nie wystarczyłoby lasów na fabrykację papieru na takie plakaty...“

Himmler w swoim memoriale p.t. „Kilka myśli o traktowaniu obcych narodowości na wschodzie“ radził, co następuje:

„Rok rocznie przeprowadzać w Generalnej Gubernii selekcję dzieci od 6 do 10 lat. Dzieci rasowo pełnowartościowe wysłać do Rzeszy w celu całkowitej germanizacji. Ludność niemiecka będzie miała tylko 4-oddziałową szkołę powszechną, której zadaniem będzie nauczyć dziecko rachować do 500 i umieć podpisać się oraz wpoić w dziecko zasady, że posłuszeństwo Niemcom jest jego świętym obowiązkiem. Jeśliby rodzice chcieli dać dziecku lepsze wykształcenie, powinni złożyć podanie do wyższych władz SS. Gdy dziecko okaże się pod względem rasowym odpowiednie, wtedy będzie na zawsze odebrane rodzicom i wysłane do Niemiec w celu całkowitej germanizacji, przy czym imię i nazwisko dziecka będzie zmienione...“

Rada Himmlera częściowo była wykonana. Około 100 tysięcy dzieci polskich wywieziono do Rzeszy. Imiona i nazwiska ich zmieniano w sposób następujący: Wiesławę Jabłońską zmieniano na Elżę Jaeger, Bolesława Olczaka na Bode Ohlschlagera, Leonie Kowalczyk na Inge Schmidt...

Rozkaz generała Rundstedta, dotyczący bombardowania Warszawy w 1939 r., głosił:

„Wojska nasze muszą tak postępować, aby nikt z ludności cywilnej nie mógł opuścić miasta, choćby użycie broni było w tym wypadku sprzeczne z prawem międzynarodowym. Lotnictwo nasze ma bombardować nie tylko obiekty wojskowe, ale również obrzucać bombami zavalajacymi dzielnicę mieszkalną...“

Gdy władze hitlerowskie ogłosiły przetarg na budowę najnowszych krematoriów i komór gazowych, nadesłano wiele ofert, z których szczególnie wyróżnia się firma Topf i S-wie z Erfurtu. Firma ta pisała:

„Nasze przedsiębiorstwo już do-

starczyło 4 piece krematoryjne do Dachau i 5 do innych obozów. Zawsze wywiązywaliśmy się z powierzonych nam zamówień solidnie i nigdy nie było powodu do reklamacji. Załączając plan proponowanych pieców, pozwalamy sobie zwrócić uwagę na praktyczną nowość, która pozwala na automatyczne podnoszenie ciała i wsuwanie ich wprost do wnętrza pieców...“

List dr Raschera z dnia 17 lutego 1943 r. do Himmlera brzmiał: „Obecnie pracuję nad tym, aby udowodnić doświadczeniami nad ludźmi, czy zamrożeni suchym mrozem mogą być tak szybko rozgrzani jak ci, którzy byli zamrożeni w lodowatej wodzie. Państwowy lekarz SS dr Granitz twierdzi, że trzeba to udowodnić w 100 doświadczeniach. Dotychczas zamroziłem w Dachau 30 ludzi nagich na dworze w przeciągu 9-10 godzin przy mrozie —17 —19 st. C. Chciałbym swe doświadczenia kontynuować w Oświęcimiu, który lepiej nadaje się do takich doświadczeń niż Dachau, ponieważ tam jest zimniej i dzięki większemu obszarowi mniej zwraca się uwagi, bo osoby poddawane doświadczeniu widać, gdy bardzo marzną...“

Generał Guderian jednak zupełnie nie wspomina w książce swej o zbrodniach swoich hitlerowców i odpowiedzialności za nie, przeciwnie, żąda nagrody.

„Żądamy — woła generał dwukrotnie zwyciężony — terytoriów, położonych na wschód od linii Odry i Nysy. Żądamy, aby terytoria te zostały na nowo skolonizowane przez Niemców. Analogiczne są nasze żądania, jeśli idzie o inne terytoria, zajmowane dawniej przez Niemców, a szczególnie Sudety...“

Mowa Hitlera, Dziennik Franka, rozkaz Rundstedta, oferta Topf i S-wie, list Raschera, a można byłoby takich wzorów „kultury“ hitlerowskiej przytoczyć bardzo wiele, są dobrym przykładem, do czego może doprowadzić ten system wychowawczy, który Hitler doprowadził do perfekcji. Przykłady, wyżej przytoczone, będą w du-

żym każdego normalnego człowieka wstręt i obrzydzenie. Nic więc dziwnego, że znalazły się dziś miliony Niemców, którzy powiedzieli, że oni drogą Hitlera nie pójdą, że oni chcą żyć z ludźmi po ludzku, chcą żyć w sposób demokratyczny.

Dla nas, najbliższych sąsiadów Niemiec, jest na szczęście mniej ważnym, co generał Guderian pisze w swej książce, lecz o wiele jest ważniejszym to, co mówią i czynią dziś Niemcy odradzające się w Niemieckiej Republice Demokratycznej bądź też walczące z reżimem w Bonn, z odradzającym się Wehrmachtem.

Sto lat temu Mickiewicz głosił: „Ten, kto mówi o sprawach tylko jednego narodu, jest nieprzyjacielem wolności“. W parę lat potem Marks powiedział to samo, tylko nieco inaczej: „Nie może być wolnym naród, który uciska inne narody“.

Ale jeśli w jakiejś chwili naród przestaje być zdolny do czynów dla ogólnego dobra, przestaje rozumować normalnie i postępować po ludzku, lecz głosi, że jest narodem nadludzi, narodem panów; jeśli klerownicy narodu — elita rządząca — zamieniają się w gromadę zbrodniarzy, wtedy staje się to, co się stało w czasie drugiej wojny światowej i co się zakończyło Sadem w Norymberdze a czego nigdy w dziejach ludzkości nie było.

Generał Guderian głosi, że walka Hitlera przysłużyła się Europie, że niemieccy towarzysze walczyli i umierali za Europę, a dlatego powinni iść z głowami podniesionymi.

Jeszcze przed stu laty jeden z największych poetów świata, a największy poeta niemiecki — Goethe powiedział, że „kiedyś spadnie na Niemców ciężki cross, a będzie to kara za oszukiwanie samych siebie i poddawanie się pod władzę każdego lotra, który zagra na ich najniższych instynktach“.

Raz już się ta przepowiednia sprawdziła. Guderian i jego mordercy oczekują ponownego wyroku historii.

A. T.

NOTATNIK POLITYCZNY

Sprawa Polaków i Niemców

ADENAUER podróżuje po Europie zachodniej. Był z honorami witany w Paryżu w czasie swej wizyty w trakcie sesji ONZ. Robiło to niemalże wrażenie przepraszania „kancelera Rzeszy“ za to, że dotychczas rząd jego nie jest członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych. W Londynie przyjęło go niewątpliwie chłodniej. Churchill dopiero wybiera się w podróż do Stanów Zjednoczonych. Nie chce też Adenauerowi nie obiecywać, ani też zakazywać. Nie mniej jednak rząd Jego Królewskiej Mości nie może nie okazać Adenauerowi najcieplejszego zaniepokojenia, jakie budzi w przemysłowców i kapitalistycznych kołach Wielkiej Brytanii daleko idący alians kapitalistów niemieckich z amerykańskimi. Nie sposób też ukryć zaniepokojenia opinii publicznej, która zbyt dobrze pamięta skutki niemieckiej blokady, niemieckich nalotów, przeżywane koszmarne dni bitwy o Anglię i groźby najazdu.

Churchill jest wytrzymałym graczem. Nie zapomina o tym, że dysponuje w najlepszym razie w Parlamencie większością 27 głosów. Z taką większością byle podmuch niezadowolenia w szeregach swej partii i gabinet może być wywrócony. Wówczas powstałe konieczność nowych wyborów i oddania się pod sąd opinii publicznej, która już w ostatnich wyborach wybrała konserwatystów... mniejszością 200.000 głosów.

Adenauer wybrał się w swą podróż po Europie ze skromnymi propozycjami, sprowadzającymi się do tego o konieczności uznania rządu z Bonn za pełnoprawne mocarstwo. Zdając sobie jednak sprawę z ogromu nienpopularności jaką się reżim cieszy wśród społeczeństw zachodnich — Adenauer wysunął na pierwszy plan dwa, w chwili obecnej dla niego najistotniejsze problemy — pierwszy, to niedopuszczenie do zjednoczenia Niemiec, drugi, to stworzenie w ramach t. zw. armii euro-

pejskiej (pod amerykańskim dowództwem) niemieckich sił zbrojnych, dysponujących całą nowoczesną strukturą organizacyjną i oczywiście własnym przemysłem zbrojeniowym.

Jakkolwiek dotychczasowe wyniki obrad t. zw. Rady Atlantycznej w Rzymie oraz t. zw. Unii Europejskiej w Strasburgu dały wyraz wzrastającym w krajach Europy zachodniej obaw przed remilitaryzacją Niemiec, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że polityka amerykańska zdecydowana jest dziś wszelkimi sposobami wymusić na poszczególnych rządach zgodę na odtworzenie Wehrmachtu. Cała bowiem agresywna koncepcja wojskowa Stanów Zjednoczonych oparta jest o założenie uzyskania sobie dwóch trwałych i pewnych sprzymierzeńców — dawnego Wehrmachtu i armii japońskiego Mikada. I tu i tam znajdują politycy amerykańscy garstkę strażników, ludzi skompromitowanych, obciążonych potwornymi zbrodniami, ludzi, którzy zaprzędają się duszą i ciałem każdemu, kto otworzy im drogę do zaszczytów i władzy.

Hitlerowcy niemieccy doskonale sobie dziś zdają sprawę z tego, że stali się cenną pozycją w amerykańskich planach strategicznych. To też apetyty ich rosły z dnia na dzień. Obiawy hitlerowskiej recydywy stały się dziś w Niemczech wręcz niepokojące. Niepokojące nie ilościowo, gdyż ludzie ci stanowią w dalszym ciągu znikomy odsetek społeczeństwa, lecz groźne zakresem i butą ich inicjatyw. Wczoraj byli hitlerowcy artyści składali petycje o przywrócenie jako obowiązującego hymnu państwowego reżimu bońskiego — sztabarowej pieśni pruskiego zwoźnicarza — „Deutschland, Deutschland über alles!“, dziś niemiecki minister z Bonn Seeborn nie tylko anotezuje swastykę, lecz osławia — „Niemcy nie uznali nigdy ani traktatu wersalskiego,

ani granicy z 1937 roku, tym samym rozszerzając pretensje już nie tylko na polskie ziemie zachodnie, ale i również na Alzację i Lotaryngię.

Nie też dziwnego, że w tych warunkach do głosu dochodzą już nawet i jawnie skazani dawni hitlerowscy dygnitarze. Organ jednego z czołowych polityków bonskich — Arnolda, „Rheinische Post“ stawia Adenauerowi — zadanie „uzyskania w Londynie zwolnienia „niemieckich przestępców wojennych“ (cudzysłów w dzienniku), przebywających w Werli“, przy czym padają słowa niedwuznacznej pogroźki — „Werli nie tylko geograficznie leży między Bonn a Berlinem, ale stanowi również polityczną i psychologiczną przeszkodę dla porozumienia niemiecko-brytyjskiego“ (czytaj: dogadamy się z Amerykanami ponad naszymi głowami!).

Nie potrzeba nam więcej przykładów. Groźba neohitleryzmu, ponarowanego przez politykę amerykańską jest faktem. Społeczeństwo niemieckie, w tej mierze w jakiej otrząsnęło się już z zaccadzenia enarami nacjonalizmu i imperiaлизму, stoi dziś wobec konieczności mobilizowania wszystkich sił do walki z tym niebezpieczeństwem. Jedność Niemiec, gwarancja nie wciągania ich do militarystycznych i agresywnych paktów, pogłębienie się wpływów demokratycznych i pokojowych — oto cele, o które musi dziś solidarnie walczyć każdy uczciwy Niemiec.

Problem ten należy do najbardziej palących z punktu widzenia polskiej racji stanu. Opieramy się o przyjaźń z Niemiecką Republiką Demokratyczną. Tym bardziej winniśmy czuwać nad zwycięskim przebiegiem walki o pokojowe Niemcy. Wszystkie środowiska polskie, między nimi i katolicy mają tu ważką rolę do odegrania i wierzymy, że swoją rolę spełnią należycie.

Janusz ZABŁOCKI

DYSKUSJA O METODZIE

UWAGI O PANUJĄCEJ METODZIE

BRONA przeze mnie metody dominującej obecnie w pracach nad katolicką doktryną społeczną nie oznacza wcale, aby jej dotychczasowe wyniki nie budziły we mnie zastrzeżeń. Krytycyzm Konstantego Lubińskiego¹⁾ dotyczący pewnej jalości praktycznej tej doktryny i niebezpieczeństw popadnięcia w szkodliwą utopię „katolickiego” ustroju, wydaje się w pewnej mierze uzasadniony. Jednakże w przeciwieństwie do Lubińskiego jestem zdania, że odpowiednie działania za ten stan spada nie na przyjętą metodę pracy, przyjmującą za podstawowe źródło prawo naturalne (usiłowalem wykazać, że jej porzucenie przyniosłoby w dzisiejszych warunkach skutki jeszcze bardziej szkodliwe), ale na niedostateczność przyjęcia tej metody, na niewyciągnięcie ostatecznych konsekwencji z faktu jej przyjęcia. To nie w odwołaniu do prawa natury leży możliwość naprawy tego stanu. Znamy niewątpliwie nadużycia jakie popełniano w badaniach nad prawem naturalnym w przeszłości zwłaszcza w XVII i XVIII wieku, kiedy to myśliciele racjonalistyczni chcieli je usystematyzować w szeroko rozbudowany, szczegółowy kodeks. Ale krytyka tych nadużyć nie może się przekształcić w krytykę samego prawa, jak błędne dodawanie nie oskarża matematyki, a błędne pojęcie ludów pierwotnych, dla których gwiazdy były otworami w namiocie pokrywającym świat, nie oskarżają samej astronomii²⁾. Punkt ciężkości zagadnienia leży w tym, że przyjmując służącą w zasadzie metodę, współczesne ośrodki intelektualne katolików nie zawsze, jak się wydaje, czyniły to w sposób konsekwentny i nie zawsze mogły się ustrzec pewnych błędów typowych, w szczególności błędów ahistoryczności i historyczności fałszywej.

O ZWIĄZEK PRAWA NATURALNEGO Z HISTORIĄ

POSTULAT metody „świeckiej”, oznaczając przyjęcie prawa naturalnego a nie Objawienia za podstawowe źródło katolickiej doktryny społecznej, narzuca zarazem konieczność sprecyzowania, co pod pojęciem prawa naturalnego rozumiemy.

Prawo naturalne jest wynikiem procesu poznania rozumowego przy pomocy metody właściwej filozofii tego, co nazywamy „naturą ludzką” czyli pewnej niezmiennej istoty w człowieku, wiążącej się z pojęciem pewnej celowości. „Naturalne jest więc to, co odpowiada wymaganiom i skłonnościom istoty, to, czemu rzeczy są podporządkowane z racji swego typu gatunkowego i ostatecznie przez Twórcę bytu³⁾”. Te podstawowe założenia nie mogą budzić wątpliwości, podlegają jednak za sobą pewne konsekwencje, które — jak się wydaje — nie zawsze były uświadomione dostatecznie jasno przez niektórych teoretyków prawa naturalnego.

Konsekwencją pierwszą winno być zdanie sobie sprawy, że prawo naturalne jako zespół ogólnych norm nie jest bynajmniej zespołem jakichś idei wlaných w umysł niezależnie od przedmiotu, ale przeciwnie, jest odbiciem rzeczywistości istniejącej obiektywnie, odbiciem, które posiada w tej rzeczywistości realny przedmiot. Przypomnienie tej oczywistej w świetle tomizmu prawdy jest o tyle uzasadnione i potrzebne, że sposób wykładu prawa naturalnego, stosowany tradycyjnie przez jego interpretatorów nie zawsze ją uwzględniał, nadając normom tego prawa — mimo deklaratywnego zapewniania o ich empiryczności i racjonalności — postać jakiegoś ze spodu apriorycznych idei danych umy

słowi niezależnie od przedmiotu, jakiegoś doczesnego objawienia, którego prawdziwość chętniej była uzasadniana powagą Kościoła niż zgodnością z doświadczeniem. Nic też dziwnego, że w naszych czasach realność prawa naturalnego budziła tylokrotnie wątpliwości i podejrzenia.

Skoro uznajemy za konieczne podkreślać związek prawa naturalnego z rzeczywistym przedmiotem, którego jest ono odbiciem, konsekwencją dalszą musi być określenie tego, przedmiotu. Łatwo powiedzieć, że jest nim „natura” ludzka. Trudniej jednak pod to pojęcie „natury” podłożyć konkretną treść, trudniej określić, które z konkretnych skłonności człowieka należą do naturalnych, a które nie. Istnieje stała pokusa, która już tylokrotnie skompromitowała prawo naturalne w przeszłości, pokusa przyjmowania za wyraz niemierniej istoty człowieka tego, co było tylko odbiciem pewnej przemijającej sytuacji ekonomicznej czy społecznej, wytworzonej w określonym punkcie rozwoju historycznego.

Gdyby stanąć na stanowisku całkowitej niezmienności natury ludzkiej w historii a zatem ponadczasowego Człowieka przez wielkie C, jak to czynią myśliciele ulegający indywidualizmowi mieszczańskiemu, do poznania natury ludzkiej wystarczałoby staranne wniknięcie w samego siebie i na podstawie introspekcji ustalenie właściwości owej abstrakcyjnego Człowieka. Skądinąd wiemy jednak, że właśnie taka metoda doprowadziła do najtragiczniejszych złudzeń i pomyłek, gdyż każdy model „człowieka abstrakcyjnego” żyje w określonych, różnych od siebie warunkach historycznych i jest obciążony daleko idącymi uwarunkowaniami. Rzecz bowiem w tym, że naturalne skłonności natury ludzkiej, które w chwili przyjścia człowieka na świat znajdują się w stanie potencjalnym, mogą się rozwinąć i w pełni ujawnić dopiero pod wpływem życia społecznego. Tak więc dopiero społeczeństwo ujawnia prawdziwą naturę człowieka i, nie sposób ją poznać rozważając człowieka w izolacji od życia społecznego. Ze zaś społeczeństwo podlega ustawicznemu przemianom, różne uzdolnienia natury ludzkiej ulegają wykształceniu w różnym stopniu, w zależności od warunków rozwoju jakich dostarcza im historia. Dlatego to właśnie niektóre kierunki myśli nowoczesnej w swojej krytyce nadużyć popełnionych przez teoretyków prawa naturalnego posuwały się aż do zaprzeczenia jednej wspólnej natury w człowieku na przestrzeni historii.

UZNANIE przez teoretyków prawa natury wpływu życia społecznego na wykształcenie się skłonności naturalnych w człowieku prowadziło niejednokrotnie do następującego schematu: istnieją w człowieku właściwości „naturalne” i właściwości „historyczne”, otóż pierwsze z nich są przedmiotem filozofii, która określa treść prawa naturalnego, podczas gdy drugie winny być oddane historycznym naukom szczegółowym, których są właściwym przedmiotem. Taki schemat ugruntował rozdział filozofii od historii, skazując tę pierwszą na abstrakcyjność i spekulatywność nie pozostającą bez znaczenia dla społecznej użyteczności doktryny prawa naturalnego.

Dlatego trzecią konsekwencją, którą uważamy za celowe wyciągnąć z założeń metody „świeckiej”, winno być przeciwstawienie się temu schematowi metodologicznemu jako sztucznemu, i nieodpowiadającemu rzeczywistości. Rozdzielenie w człowieku dwu dziedzin, z których każda jest przedmiotem innej dyscypliny, jest operacją sztuczną, i ponieważ skłonności „naturalne” nie są w rzeczywistości jakimiś zjawiskiem samoistnym, dającym się wyodrębnić od innych zjawisk, ale przejawiają się zawsze poprzez skłon

ności „historyczne”. Prawo naturalne nie występuje więc nigdy w postaci nagej, ale jest przesłonięte szatą określonej specyfiki historycznej. Dlatego poznanie prawa naturalnego jest niemożliwe bez poznania historii, w której jest ono ukryte. Dopiero poznanie historii może dać odpowiedź na pytanie jakie właściwości człowieka są na przestrzeni dziejów niezmiennie, a więc naturalne, a jakie ulegają zmianie. Rozróżnienie „naturalnej” i „historycznej” strefy w człowieku nie jest więc założeniem, danym a priori (założeniem — dodajmy — które w praktyce dawało nieskończone pole dla dowolności), ale jest wynikiem, do którego należy dojść przez poznanie historii jako, jedynego przedmiotu, chociaż na dwu płaszczyznach: nauk szczegółowych i filozofii.

Założeniem jest nie odrębność przedmiotu poznania, która jest fikcją. Założeniem jest odrębność stosowanej przez podmiot poznania metody, która pozwoli na wyselekcjonowanie z historii pierwiastków istotnie niezmiennych od tych, które ulegają zmianie. Podczas bowiem gdy poznanie metodami nauk szczegółowych zatrzymuje się na zjawiskach bliższych poznaniu zmysłowemu i przy tym stanowiących to, czym się poszczególne fragmenty rzeczywistości między sobą różnią, poznanie filozoficzne wnika głębiej do tych składników rzeczywistości, które poznaniu zmysłowemu są dalsze, a ponadto bada to co jest wspólnym podłożem rzeczywistości, w szczególności zaś zagadnienia, które są wprawdzie stawiane przez nauki szczegółowe, ale które nie mieszczą się w zakresie tych nauk i nie mogą być przez nie rozstrzygnięte. Do takich zagadnień należy w pierwszym rzędzie zagadnienie natury ludzkiej, którą zakłada szereg nauk szczegółowych, nie będąc jednak w stanie, na skutek jednostronności stosowanych metod poznawczych, zgłębić tego zagadnienia w sposób wyczerpujący i wszechstronny. Twórcze przezwyciężenie tych jednostronności jest możliwe jedynie przez dyscyplinę, która wzniesie się ponad nauki szczegółowe i korzystając z ich dorobku dokona w oparciu o własną metodę syntezy wiedzy o człowieku i jego naturze — przez filozofię.

RAWO naturalne, chociaż niezmiennie na przestrzeni historii, przeciż do niej należy i nie można go z natury ludzkiej wyczytać inaczej niż biorąc za przedmiot jego przejawy w historii. Dlatego powinno zrezygnować ze swojego odosobnienia ponad historią, na które skazuje go wielka część jego teoretyków; przez odosobnienie to być może usiłowało ono utrzymać swoją powagę tego co niezmiennie w stosunku do tego co przemijające, w praktyce jednak skazywało się na niebezpieczeństwo oderwania od rzeczywistości obiektywnej, które winno być odbiciem, na złudność introspekcji, na sztuczność przeciwstawienia w człowieku sfery „naturalnej” sferze „historycznej” przy braku kryteriów tego podziału. Wyzwolone od tych niebezpieczeństw prawo naturalne przedstawiać się będzie w postaci pewnych ogólnych zasad, które — w stopniu zależnym od precyzyjności naszego poznania — stanowią odbicie rzeczywistych dążeń naturalnych człowieka, wynikających z faktu potencjalności jego natury.

ANALOGICZNE STOSOWANIE PRAWA NATURALNEGO W HISTORII

TAK rozumiane prawo naturalne, nawet pojmowane w sposób szeroki, a więc obejmujące nie tylko to co św. Tomasz nazywa principium per se notum oraz prima principia communia, ale również to, co nosi w jego języku miano conclusiones propriae, a co zawiera już w sobie pewien moment zmienności — nawet tak szeroko pojmowane prawo naturalne bę

dzie się nam przeciż jednak przedstawiało w postaci pewnych ogólnych zasad, które w życiu społecznym wymagają konkretyzacji przez prawo pozytywne. Dlatego na odcinku społecznym katolicy nie mogą ograniczać się w oparciu o ocenę warunków historycznych do zainteresowania samą doktryną, czyli prawem naturalnym, ale muszą skonstruować pewien program społeczno-ustrojowy, obejmujący proponowane normy prawa pozytywnego. Ta konkretyzacja odbywa się w dwojaki sposób: część prawa naturalnego, zwana przez św. Tomasza ius gentium, wchodzi w skład prawa pozytywnego, uzyskując jego potwierdzenie i sankcję; niezależnie od tego prawo naturalne kontroluje w postaci kryterium negatywnego również i tę pozostałą część prawa pozytywnego, którą nie nakreśliło w sposób pozytywny, ale po zostawiło uznaniu ustawodawcy (ius civile). O ile część pierwsza obejmuje przepisy, które w zasadzie powinny być na przestrzeni historii w różnych ustawodawstwach te same, o tyle część druga podlega w granicach niesprzeczności z prawem naturalnym zmianom, uzasadnionym korzyścią wspólnego do bra społeczeństwa.

Ta konieczność konkretyzacji prawa naturalnego w zmiennym biegu historii nakazuje nam przypomnieć i sobie zaakcentować prawdę, nie zawsze w myśli katolickiej dość jasno widzianą. Oto niezbędna konkretyzacja prawa naturalnego musi być konkretyzacją historyczną. Oznacza to, że ogólne zasady prawa naturalnego muszą znajdować zastosowanie w prawie pozytywnym w różnych czasach w sposób nie jednoznaczny, ale analogiczny. Z racji zmienności życia społecznego każda epoka musi wyciągnąć dla siebie właściwe wnioski z prawa naturalnego, nie zadowolając się wnioskami wysnutymi przez poprzednie epoki jako stosownymi do innych warunków historycznych. Tę pracę nieustannego rewidowania dotychczasowych wniosków z prawa naturalnego, tak nieustanną jak nieustanny jest rozwój historyczny, trzeba podejmować zwłaszcza w momentach dokonywania się zasadniczych przemian dziejowych. Nie wolno zapominać, że to właśnie historia wyznacza w każdym momencie prawa naturalnemu zakres społecznych możliwości jego urzeczywistnienia oraz formę, w jakiej urzeczywistnione być może. Pozbawione łączności z historią i nieczule na jej ukryty głos prawo naturalne musiałoby się stać — czego mamy już dowody w przeszłości — martwym systemem dogmatów, obciążonym jalością praktyczną.

Ten apel o wierność historii nie jest na tych łamach nowością. W szczególności podkreślony został mocno w specjalnym numerze naszego tygodnika, poświęconym chrześcijańskiemu sensowi dziejów. Katolik, choć jego powołanie jest nadprzyrodzone, osiągnąć je może tylko przez życie w rzeczywistości doczesnej. Stąd rzeczywistość przyrodzona, a więc także i rzeczywistość społeczna, jest niezbędnym źródłem wskazań tam gdzie ich wiara nie udziela. Wyraził to dominikanin Montclair w pięknych słowach, przyjętych przez W. Kętrzyńskiego za motto do jego artykułu o stosunku katolików do historii.

„Niezbędne jest, by do wpływu wiary były dopuszczone jako uzupełnienie wskazania rzeczywistości. Sam Bóg dał rzeczywistości światłość, którą poymniśmy osiąść”. Kętrzyński sygnalizuje dalej niebezpieczeństwo, jakim jest „skłonność wśród głęboko nawet uświadomionych katolików do idealistycznego podchodzenia do doświadczenia, jakie niosą z sobą dzieje ludzkie. Wynika to z przeświadczenia, że Objawiona nam Prawda, zawarta w nauce Kościoła, wystarcza zupełnie do poprawnego wyedukowania wszelkich wskazań dla postępowania ludzkiego, dla budowania wszelkich doktryn, mających na celu regulowanie naszego życia w kategoriach doczesnych i historycznych. Z tego założenia wychodząc, popada się w sposób niemalże nieunikniony w najbardziej fantastyczne, jeśli nie wręcz szkodliwe, próby naginania rzeczywistości do urojeń, przeważnie nie mających wiele wspólnego z zasadami chrześcijaństwa”.

PRZECIŻ AHISTORYCZNOŚCI

TRZEBA przyznać, że to niebezpieczeństwo ahistoryczności ciąży na katolickiej myśli społecznej w sposób szczególnie wyraźny. Przekonanie o ponadhistoryczności wskazań społecznych swojej doktryny niedostrzegalnie zesłizguje się w świadomości katolików w skłonność do odmawiania znaczenia temu co jest zmienne, a więc historii.

W tym miejscu, gdzie nauka świętego Tomasza rozumiania właściwie nakazuje rozumowi ludzkiemu wyciągnąć z ogólnych wskazań prawa naturalnego szczegółowe wnioski dla prawa pozytywnego danego okresu historycznego, w tym zwłaszcza miejscu wielu katolików, którzy nie zawsze świadomie chcieliby widzieć swoją doktrynę w postaci szeroko rozbudowanego systemu wskazań, które należy tylko wcielić w życie, odczuwa coś jakby rozczarowanie. Przeciż to prawo naturalne jest tak ogólne, że — prawdziwie mówiąc — nie tłumaczy prawie nic. Przeciż kiedy pragnąc rozwiązać jakikolwiek problem społeczny, polityczny czy ekonomiczny czasów obecnych sięgamy po nie, wskazówką o wartości praktycznej, jaką do niego otrzymujemy jest ta, że „należy działać zgodnie z rozumem”. A przeciż — powtarzając za Lubińskim w jego „Rewizji metody” — „ocena kiedy działanie jest zgodne z rozumem a kiedy nie — stanowi problem niezwykle trudny do rozwiązania”. Ponieważ jednak analogiczna konkretyzacja prawa naturalnego, konkretyzacja różna dla różnych warunków historycznych, jest w ich pojęciu nieuniknieniem skazana na niekończące się dowolności i nadużycia, z drugiej zaś strony doktryna prawa naturalnego — jeśli ma mieć jakiegokolwiek znaczenie praktyczne — musi ulec jakiejś konkretyzacji, przeto zwolennikom dogmatów społecznych pozostaje jedna droga — droga konkretyzacji jednoznacznej prawa naturalnego, tej samej dla różnych warunków historycznych. Powracając do przedstawionej przez nas wyżej terminologii św. Tomasza można to określić jako skłonność do opierania proponowanego programu społeczno-ustrojowego na nadmiernie rozbudowanym ius gentium, a więc części niezmienniej, przy niedostateczności ius civile, a więc części

(Dokończenie na str. 4)

S. P.

Z KULESZÓW KRYSZYNA MAZOWIECKA

1951 r. przeżywszy lat 31.

opatrzona Świętymi Sakramentami zmarła dnia 29 listopada 1951 r. przeżywszy lat 31.

Pogrzeb odbył się w poniedziałek dn. 3 grudnia br. na cmentarzu powązkowskim w Warszawie po Mszy Św. w Kościele św. Karola Boromeusza.

O modlitwę za spokój Jej duszy proszą
MĄŻ, RODZICE, RODZINA.

¹⁾ Por. K. Lubiński — „O rewizję metody” (D. i J. nr 28—29) J. Zabłocki — „Anachronizm metody sakralnej” (D. i J. nr 45—311).

²⁾ J. Maritain — „Les droits de l'homme et la loi naturelle”.

³⁾ J. Maritain — „Trois reformateurs”.

UWAGI O PANUJĄCEJ METODZIE

historycznie zmiennej. Cały wysiłek skierowany jest wówczas na dedukcję logiczną z ogólnych norm doktrynalnych celem osiągnięcia przez nie większego stopnia precyzji, bez zdania sobie sprawy, że to prowadzi myśl katolicką na manowce ahistoryczności, że skazuje ją na rolę ciężkiego, sztywnego i statycznego systemu zawieszono ponad historią i niezdolnego do wcielenia się w nią. Wiemy jaki jest niuankowy kres tej drogi: utopia „katolickiego” ustroju.

Te uwagi krytyczne dotyczyły przede wszystkim zwolenników prawa naturalnego. Jak bardzo jednak wspomniane tendencje do ahistoryczności, które są grzechem pierworodnym całej katolickiej doktryny społecznej, ciąży również na innych katolikach, i to nawet dalekich od tradycjonalizmu, może świadczyć przykład samego Lubieńskiego któremu nie udało się ich uniknąć w swoim artykule poświęconym rewizji metody. Zauważmy, że autor „O rewizję metody”, szukając źródeł niedomagań współczesnej myśli społecznej katolików i wytyczając drogi ich przezwyciężenia nie tylko nie dostrzegł potrzeby uzupełnienia niezmiennych doktryny pierwiastkami dynamiczności, giętkości i przystosowalności historycznej, ale przeciwnie — stając wobec konieczności wyboru podstawowego źródła doktryny przyjmuje dwa mierniki: oceny tych źródeł: są nimi sztywność i dotychczas osiągnięty stopień szczególności ich wskazań. Toteż wzywając tożsamość do stosowania prawa naturalnego „zgodnie z rozumem” oraz fakt, że powstałe w ten sposób „wskazania prawa naturalnego sensu largo ulegają zmianom jako dowód słabości szeregu czynników” muszą być przez niego ocenione jako dowód słabości prawa naturalnego, przed którą to słabością chroni tylko przerzucenie się na pozytywne prawo Boże, dające rzekomo wskazania i bardziej szczegółowe i bardziej niezmiennie. Zauważmy, że argument, który Lubieński wielokrotnie powtarza przy motywacji nowej metody, jest ten, że „pozytywne prawo Boże, a więc Pismo Święte i tradycja, mimo tego, że wskazania w nich zawarte są ogólne, to jednak są znacznie bardziej sprecyzowane aniżeli wskazania wynikające z dotychczas określonej treści prawa natury” (podkr. m.) i zarazem, jakby jeszcze dla wzmocnienia tego argumentu, dodaje: „Doza tym wydaje się, że ta opinia o ogólności wskazań w zakresie społecznym, zawartych w Objawieniu czyli pozytywnym prawie Bożym, uległaby poważnej rewizji, gdyby te źródła pod tym kątem widzenia zostały dostatecznie skrupulatnie opracowane. Należy poddać je głębszej analizie w celu wydobycia z nich wskazań czy to bezpośrednich czy pośrednich dla życia społecznego...”. W tym miejscu pozwolimy sobie zauważyć, że nie inny punkt wyjścia obrali ci wszyscy myśliciele, którzy w następstwie doszli do ahistorycznej utopii „katolickiego” ustroju.

Błądność takich kryteriów w ocenie doktryny wydaje się nie wymagać uzasadnień. Gdyby o wartości norm doktrynalnych świadczył osiągnięty przez nie stopień sztywności i szczególności, to palmę pierwszeństwa wypadłoby oddać kodeksowi moralności naturalnej, opracowanemu przez racjonalistów XVII i XVIII wieku: Normy rzeczywistości w ciągu historii niezmiennie muszą być dostatecznie ogólne. Dlatego też nie widzimy nic niesłusznego w zarejestrowanej przez Lubieńskiego tendencji do ostrożności w formułowaniu prawa naturalnego, jaka cechuje najnowszych jego badaczy. Konkretyzacja jednoznaczna prawa naturalnego, konkretyzacja ahistoryczna, będąc sama w sobie niesłuszną, stanowi dzisiaj w katolicyzmie społecznym czynnik zapóźnienia i wsteczności, bowiem przed dążenie do rozbudowania ponadhistorycznych norm doktrynalnych podnosi do rzędu niezmiennych zasad zjawiska historyczne, w rzeczywistości uwarunkowane ukształtowaną w przeszłości sytuacją społeczną. Dlatego droga do uwolnienia katolicyzmu od narzucającej mu roli obrońcy starego świata wiedzie przez przezwyciężenie szkodliwych tendencji do ahistoryczności i przez konkretyzację historyczną, ponieważ tylko ona obdarzy może katolicką doktrynę społeczną zdolnością do aktualizacji, dynamizmem i umiejętnością dawaną odpowiedzi bieżącym potrzebom historii.

PRZECIW HISTORYCZNOŚCI FAŁSZYWEJ

O BOK niebezpieczeństwa ahistoryczności, która ignoruje konieczność stosowania ogólnych zasad prawa naturalnego w takiej postaci, jakiej wymagają określone warunki historyczne, istnieje jeszcze niebezpieczeństwo historyczności fałszywej, która — formalnie przyjmując konieczność konkretyzacji analogicznej w różnych czasach — praktycznie jej wartość przekreśla na skutek błędów i nad

użyć w poznaniu współczesnej epoki i jej potrzeb.

Przykładem takiego braku adekwatności proponowanych rozwiązań w stosunku do aktualnej rzeczywistości historycznej, przy formalnym niesprzeciwianiu się postulatowi konkretyzacji analogicznej, może być Katolicki Kodeks Społeczny, wydany przez Międzynarodowy Związek Badań Społecznych w Malines w 1926 roku. Związek ten, który odegrał dla powstania encykliki „Quadragesimo Anno” w 1931 r. rolę analogiczną co Unia Fryburska z lat 1884—1891 dla wydania „Rerum Novarum”, wywarł poważny wpływ na orientację społeczną katolików w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, na niego też spada w wielkiej mierze odpowiedzialność za zatrzymanie się w tym czasie katolickiej myśli społecznej na pozycjach ustalonych w wieku XIX i nieuwzględnienie tych wszystkich przemian dziejowych, które się dokonały od „Rerum Novarum”. O ile w czasach Leona XIII mogło to być jeszcze przedmiotem dyskusji, o tyle w dwudziestolecie międzywojennym naszego stulecia powinno nie budzić wątpliwości w katolikach, że: 1) wobec wejścia kapitalizmu w fazę imperialistyczną, wobec stałego postępującej centralizacji kapitału i wysunięcia się naprzód w życiu gospodarczym gigantycznych trustów i monopolów, które rujnowały już nie tylko drobnych, ale i średnich producentów, niezdolnych do utrzymania konkurencji, postulat uproszczenia własności wytwórczej, oznaczający jej decentralizację i atomizację w rękach drobnych posiadaczy, musiał się stać w ramach panującego ustroju pozbawioną szans realizacji utopią; 2) wobec wzrastającego w miarę postępującej dysproporcji majątkowej zaostreżenia konfliktu między klasami i wzbierania fali ruchu robotniczego postulat oparcia życia społecznego na harmonii i równowadze sił klasowych pod kontrolą rzekomo „bezpstronnej” państwa świadczył o statycznym pojmowaniu procesów społecznych i był w świetle dynamiki rozwojowej społeczeństwa kapitalistycznego nie do utrzymania. To błędne rozpoznanie tendencji historycznych w danej epoce, pozbawiając myśl katolicką łączności z tym, co rzeczywistości było w społeczeństwie żywe i dynamiczne, zepchnęło na długi czas poczynania społeczne katolików na pozycje obiek-

(Dokończenie ze str. 3)

tywnie wsteczne, wiążąc je w sposób tragiczny z obozem broniącym starego porządku.

NASUWA się pytanie, w jaki sposób dochodzi do owej historyczności fałszywej, której ulega tak wielka część katolickiej myśli społecznej? Dlaczego normy prawa naturalnego, obiektywne dopóki są w postaci ogólnej i znajdują się poza historią, z chwilą konkretyzacji i zejścia na grunt historii ulegają subiektywizacji, dając często w zastosowaniu do tej samej sytuacji społecznej różnym autorom różne rozwiązania? Lubieński upatruje źródło tego zjawiska w samych normach prawa naturalnego, ze względu na ich ogólny charakter. W przeciwieństwie do niego sądzi, że to nie w normach szukać należy utajonego bakcyli subiektywizmu, ale w podmoście, który dokonuje ich konkretyzacji dla danej epoki.

Z jednej strony słusznie charakteryzuje w swoim artykule ten mechanizm załazsowania Lubieński, choć bezpodstawnie zwraca go tylko do myślicieli opierających się na prawie naturalnym. Nie znajdując w prawie naturalnym wobec jego ogólnikowości wyraźnej odpowiedzi na stawiane przez teraźniejszość pytania, znajdując tam co najwyżej wskazanie, że „należy postępować zgodnie z rozumem”, myśliciele katolicki czują się niejednokrotnie upoważnieni do podjęcia tej „pracy rozumu” w taki sposób, że pod jej pretekstem przemycają do tworzonych programów społecznych — zresztą najczęściej nieswiadomie — poglądy na aktualną epokę zniekształcone własnymi obciążeniami klasowymi czy opiniami panującymi w środowiskach społecznych z których pochodzą. Rezultatem są dwa „krajowo różne rozwiązania problemu społecznego”, z których każde per tendencje do miana rozwiązania „katolickiego”.

Z drugiej strony odstępstwa od obiektywizmu tłumaczą się niedoskonałością i różnorodnością narzędzi metodologicznych, używanych przez różnych myślicieli do poznania historii, co sprawia że stopień znajomości przez nich praw rządzących historią i ocena wartości tych praw jest również roz-

maity. W wyniku tego obiektywna prawda o bieżącej epoce, przechodząc przez różne metody poznawcze, ulega może w umysłach pojedynczych jej badaczy subiektywizacji. Stąd likwidacja subiektywnych skrzywień naszego poznania wymaga ujednolicenia metody poznania przez powszechne przyjęcie metody najbardziej wykształconej lub też nowej syntezy pierwiastków twórczych w różnych metodach. Aby katolicka myśl społeczna nie musiała błądzić po manowcach, aby mogła zawsze w sposób jednoznaczny i bezbłądny poznawać istniejący układ społeczny i jego tendencje rozwojowe, trzeba aby pracujący nad nią myśliciele nie byli — jak dotąd — wydani na łup rozmaitym podejrzanej wartości i domowego chowu historiozofom, przyjmowanym nieraz w zależności od osobistych poglądów i upodobań intelektualnych, ale aby zadali sobie trud przyjęcia w oparciu o cały dotychczasowy dorobek w tej dziedzinie całej możliwej prawdy o historii, jaka dotąd została osiągnięta. Mimo szeregu interesujących prób, dokonanych na Zachodzie, stale jeszcze daje się zauważyć wśród katolików — zwłaszcza u nas — brak zainteresowania obiektywną wiedzą o historii i rzetelnego wysiłku celem poznania jej głębszego sensu.

Zapewne można stwierdzić, że nie ma dotąd filozofii historii we właściwym tego słowa znaczeniu, to zaś, co w tej dziedzinie zostało stworzone, stanowi tylko mniej lub więcej subiektywistyczne koncepcje historii. Ale stwierdzenie to, nawet gdyby było ścisłe, nie może w żadnym wypadku służyć za usprawiedliwienie braku zainteresowania historią albo podstawę do jej lekceważenia. Przeciwnie, powinno ono oznaczać, że katolicy, którzy pragną być obecni w historii, mają przed sobą olbrzymie zadanie jej poznania. Uniwersalistyczna filozofia św. Tomasza, na której przede wszystkim bazują intelektualne poczynania katolików, nie daje nam gotowej filozofii dziejów, ponieważ w okresie kiedy ona powstawała, ludzkość nie odkryła jeszcze prawidłowości rozwoju historii. Nie znaczy to jednak, aby w tomizmie nie były zawarte już teraz pewne ogólne założenia albo główne zarysy tej filozofii, czekające na wydobycie przez współ-

* Ks. J. Piłowarczyk — Prawa i siły historii. („Tyg. Powszechny” 42-344).

Janusz Zabłocki.

O NOWA TEATROLOGIE POLSKA

Odczyt Leona Schillera

WRAMACH zorganizowanego przez Sekcję Dramatu ZLP oraz Stowarzyszenie Artystów Teatru i Filmu cyklu odczytów, poświęconych problematyce teatru, odbyła się niedawno w Domu Literatury ciekawa prelekcja Leona Schillera na temat „Konkretnej nauki i nowe zadania teatrologii polskiej”. Prelegent omówił przede wszystkim dotychczasowy dorobek naszej nauki o teatrze oraz wskazał na braki i trudności, jakie przezwyciężać musi teatrolog i realizator.

Trudności, na które napotykała historia i teoretycy sztuki teatralnej przy organizowaniu ksegozbiorów, są ogromne. Niestety, można powiedzieć, że nie istnieje polska literatura teatrologiczna. W biografach i wydawnictwach krytyczno-literackich interesowano się całym dorobkiem pisarskim, o dramaturgię lakonicznie tylko wzmiankując. A jeśli omawia się drobniejsze twórczości dramatyczną Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego czy Fredry, to w tych pedantycznych i mozolnych dociekaniach pomija się ówczesny teatr, a więc styl i poziom gry aktorskiej, inscenizację i scenografię, reakcję widza itp. A przecież programy artystyczne i ideologiczne oficjalnej lub awangardowej literatury, akademicka czy nowatorska plastyka nie zawsze pokrywały się ze stylem teatru. Historycy szkoły tradycyjnej ustawiała wprawdzie różne zjawiska dramatopisarskie w porządku chronologicznym, lecz brak w tych opracowaniach związku z rzeczywistością społecznogospodarczą danego okresu. Na ogół dzieje się to dlatego, że badacze literatury dramatycznej nie dopuszczają myśli o możliwości oddziaływania teatru na dzieło literackie. Wszelkie wartości wykonawcze ukryte w tekście piśmianym są dla nich niewidoczne. Nie mogą sobie wyobrazić dramatu na scenie, nie

są zdolni zobaczyć go w ramach teatru danej epoki, widzą tylko — słowa.

Jak wykazał Gustaw Cohen i Max Herrman istnieje ścisły związek zachodzący między przedstawieniami scenicznymi a współczesną im plastyką. Nie tylko więc odpowiednio zinterpretowane teksty literackie mogą się stać cennymi źródłami dla teatrologa. Akcesoria starożytnego teatru greckiego, hellenistycznego i rzymskiego, całe sceny dramatyczne utrwały się w statuetkach, zdobnych wazach i dekoracyjnych malowidłach. Teatr średniowieczny zanotował rzeźbiarskie ornamenty, kompozycje snycerskie, witraże oraz malarstwo miniatury i stalugowe. W obrazach włoskich i niemieckich często czuje się w ruchu, pozie, sposobie kształtowania grup — efekty czysto teatralne pochodzenia. Niestety, nie posiadamy takich dokumentów plastycznych, co również bardzo utrudnia prace naukowe, gdyż za pomocą metod teatrologii porównawczej mogłoby się zmienić wiele poglądów i tradycji. Leon Schiller proponuje, by przy braku dokumentacji w niektórych wypadkach zaryzykować ugruntowanie hipotezy, co ułatwiłoby zbliżoną do prawdy rekonstrukcję widowisk.

Dalej omawia prelegent zawartość ideologiczną tej polskiej twórczości scenicznej ubiegłych stuleci, która posiada jakiegoś znaczenie dla dzisiejszego teatru. Na szczególną uwagę zasługują ciekawy teatr im. Bogusławskiego w latach 1924—26, który eksperymentuje zwalczać mieszczańskie uodobania i zdegenerowany naturalizm, ustalając repertuar, linie polityczne i sprawy organizacyjne z przedstawicielami wszystkich sfer społeczeństwa. Biv to pierwsze próby tworzenia w Polsce teatru politycznego, a zarazem etap na drodze

wiodącej od ekspresjonizmu tendencyjnego do socjalistycznego realizmu. Oczywiście — jak zaznacza prelegent — realizm socjalistyczny nie wyklucza sztuki, ani toleruje braków artystycznych za cenę problematyki utworu. Stosowanie nowych — czy dawno wypróbowanych — technik zawsze jest dopuszczalne pod warunkiem, że ułatwione, wierne i wszechstronne odbicie rzeczywistości nie zaclera rysunku ideologicznego.

Wiele oczekujemy i spodziewamy się od współczesnej dramaturgii. Do konkursu rozpisanego przez Min. Kultury i Sztuki na dramat współczesny stanęła duża ilość zarówno znanych jak i młodych literatów. Początkujący dramatopisarze słusznie zwracają uwagę na świeżość poruszanych zagadnień, pamiętać powinni o znakomitej, dosadnej, logicznej treści dramatu wynikającej formie dzieł Szekspira, Moliere, Beaumarchais, Gogola i Fredry. Prześledzenie pierwiastków realistycznych, przewijających się przez wieki historii teatru dać może wiele materiału dydaktycznego naszym młodym pisarzom scenicznym. Dawne tańce sakralne, świeckie (myśliwskie, rolnicze), misteria średniowieczne, komedie rybakowskie — nacechowane były realizmem, który się z biegiem czasu potęgował. Widowisko pasywe wyszło z murów katedr dzieł przeszłości realizmu i świeckich akcentów. Naturaliści, pragmatycy pełnej prawdy za wszelką cenę, ale nie widzący potrzeby walki, nie przeciwnicy wielkich przemian społecznych — przeżyli się szybko. Bogato wystawione spektakle i balety w bezideowym teatrze prowadziły tylko do sztuki merkantylnej. Teatr monumentalny, „czysty”, dawał dehumanizując człowieka, zwracając się ku pantomimie i teatralnej masce, mimo faktycznej

czesnego badacza. Czasy dzisiejsze zobowiązują nas do podjęcia próby uzupełnienia tej luki nową syntezą wiedzy historycznej, dokonanej — na wzór samego Akwinaty — w oparciu o cały pozytywny dorobek, do którego w tej dziedzinie doszła dotychczasowa myśl, choćby niekatolicka.

ZAGADNIENIE NAZWY

POZOSTAJE jako ostatnie zagadnienie nazwy. Uznając całkowicie prawo do miana „katolickich” tych postulatów społecznych, które zostały wyprowadzone z Objawienia i które stanowią negatywne kryterium stosowane przez władze kościelne w ocenie tworzonych przez katolików koncepcji i programów społecznych, zarazem podzielam wątpliwości Lubieńskiego czy do miana „katolickich” przysługuje prawo tym postulatów społecznym, które są wytworem rozumu badającego naturę ludzką, a które są jedynie niesprzeczne z Objawieniem. Problem ten nasuwa się w szczególności jeżeli stanie się na gruncie metody „świeckiej”, to jest, uzna się, że doktryna jest wytworem pracy samego rozumu, poznającą naturę ludzką, a nie przyjmującą u swoich założeń żadnych przesłanek Objawionych, że są więc zdolni do niej również niekatolicy. Ponieważ doktryna społeczna zbudowana w oparciu o tę metodę zakłada podporządkowanie Bogu społeczeństwa już nie bezpośrednio, ale poprzez człowieka rozumianego w sposób chrześcijański czyli poprzez osobę ludzką, przeto wydaje się raczej uzasadniona dla niego nazwa „personalistycznej o motywacji katolickiej” niż „katolickiej”. Skoro jednak używamy szeroko przyjęty na oznaczenie tej doktryny termin „katolickiej doktryny społecznej” powinniśmy sobie zdawać sprawę z pewnej nieścisłości tego potocznego określenia, na które gwoździ uniknięcia nieporozumień — należałoby zwracać uwagę, jak to czyni cytowany przez Lubieńskiego H. A. Rommen w dziele „The State in catholic Thought” gdy zastrzeżenie, że używa tej nazwy w odniesieniu do filozofii społecznej „nie dlatego, że jest ona oparta na teologii i Objawieniu, lecz dlatego, że opiera się na rozumnej naturze i racjonalnych zasadach”.

walki; że szmirą. Jedynie sztuka związana z życiem, a więc i z postępem, przeżyć się nie może. Dokumentuje to historia.

Wiele ciekawych elementów do wspomnianej prelekcji wniosło ośmienie projektów wydawniczych i prac prowadzonych w zakresie nauki o teatrze. Dla ułatwienia badawczo-historycznych prac teatrologów, dla rozwoju teatrologii, ukaże się cały szereg bardzo ciekawych i poważnych wydawnictw, jak bibliografia oryginalnego dramatu polskiego, bibliografia Szekspira itp. W tym celu powstały warsztaty pracy kolektywnej w różnych miastach. I tak np. wrocławski zespół opracował literaturę dramatyczną wieku Oświecenia, prof. Wyka przystąpił do studium nad komedią Fredry. Teatr Zaoolskiej, pozytywistów, polską krytykę teatralną i teatr Stanisławskiego — opracowują właśnie zespoły inne przy udziale takich wybitnych artystów sceny jak Kreczmar, Wrzykowski, Woszczerowicz i inni. Ukazuje się wkrótce podręcznik historii teatru, atlas, album do dziejów teatru, szkolny podręcznik, katalog teatralny itp. W styczniu zaś w sprzedaży będzie pierwszy numer kwartalnika „Pamiętnik Teatralny”, ze wstępem na temat metodologii teatroznawstwa współczesnego.

Tak więc rozpoczęty cykl odczytów i dyskusji w Domu Literatury, jak również rozpoczęcie systematycznej pracy naukowej i publikowanej wydawnictw z dziedziny teatrologii, ma ambicje stworzenia polskiej literatury i nauki o rodzimym teatrze.

Marginesowo zaznaczyć należy, że dużym mankamentem zebrania był brak dyskusji, która wnieść mogła wiele nowych i ciekawych spostrzeżeń i postulatów.

A. S.

Zygmunt LICHNIAK

OBRACHUNKI ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ (19)

Na gładkich torach poprawności

pełnym nonsensem — nieistotnych. Specyfika działania artystycznego polega właśnie na chronologicznej niemal zbieżności obydwu procesów. Utwór artystyczny nie może demaskować różnic hierarchicznych w ocenie obydwu procesów, chociaż siła jego działania wynika z wyraźnego rozumienia przez twórcę ich zależności hierarchicznej. Brzmi to jak paradoks, ale jest — mam wrażenie, że nie tylko w moim rozumieniu i odbiorze — obiektywnym prawem sztuki.

PRZYPOMINAM to prawo nie dla kuszących uogólnień teoretycznych, ale dla wyciągnięcia praktycznej konkluzji, która jest mi potrzebna jako założenie podstawowe dla omówienia dwóch poetów, którymi zajmę się nakazuje obowiązek krytyka katolickiego.

Mam na myśli Józefa Szczawińskiego i Wacława Olszewskiego, których arkusze poetyckie do tej pory nie doczekały się jeszcze omówienia na szpaltach naszego pisma. Obydwa te arkusze *) — jak i większość poprzednio omawianych — prowokują przede wszystkim do uwag ogólnych. Konkluzja wynikająca z przypominania na wstępie prawa, a narzucająca się po lekturze „Chwili” i „Na lirycznym postoju” dotyczy poważnego niebezpieczeństwa poprzedzającego na poprawności poetyckiej. Oczywiście, niebezpieczeństwo to zagraża przede wszystkim wierszom z omawianych tu arkuszy i tym się tłumaczy zarówno wstępne przypomnienie ogólnego prawa, jak i wysnucie z niego tej właśnie a nie innej konkluzji. Konkluzję tę trzeba określić dokładnie.

Niebezpieczeństwo poprawności polega na zastąpieniu zasady o odkrywczoci widzenia świata jako podstawowego warunku działalności poetyckiej przez zasadę zgodności z konwencją. Obojętne — jaką. Ważne jest w tym wypadku takie organizowanie materii poetyckiej, które całkowicie podporządkowane będzie ustalonym sposobom odczuwania i przeżywania, ustalonym sposobom wartościowania i hierarchizowania zjawisk, a zrezygnuje prawie zupełnie z momentu zaskoczenia, niespodzianki, czy nowości. Poezja staje się wtedy powielarnią znanych i uznanych prawd o świecie, warsztat poetycki przypomina warsztat rotacyjny, a wysiłek twórczy jest wysiłkiem rejestratora faktów czy wzruszeń, które pozabawione są elementu poetyckiej odkrywczoci. Na gładkich torach poprawności, ustalonych i wyszlizganych przez wielokrotne przebywania tej samej drogi, rydwan poetycki siłą bezwładu stoczy się może ku poetyckiej przeciętności. Na takie tory kieruje twórców ta koncepcja poezji, która jest oparta na zlekceważeniu poznawczych walorów sztuki, na łatwej akceptacji bezselekcyjnego notowania wzruszeń.

Innymi słowy: niebezpieczeństwo poprawności poezji polega na wadliwym rozumieniu i realizowaniu zobowiązań poety wobec konwencji obowiązującej w jego okresie. Konwencji tej nie można lekceważyć, jest ona warunkiem przekazywalności utworu, ale spełnia funkcję ujemną, jeśli staje się potępieniem odkrywczoci poetyckiej, jeśli wyklucza kolumbowość choćby najmniejszych wymiarów. Od poety wymagamy szacunku dla konwencji, ale chcemy także, by umiał ją w mądry sposób gwałcić, by umiał ją traktować pobłażliwie. Ten mądry gwałt i mądra pobłażliwość muszą gwarantować swobodę odkrywczoci widzenia.

*) Józef Szczawiński: „Chwila”, Warszawa, Pax, 1951.
Wacław Olszewski: „Na lirycznym postoju”, Warszawa, Pax, 1951.

Poezja Józefa Szczawińskiego i Wacława Olszewskiego nie posiada tych cech. I jeden i drugi poeta jest zbyt poprawny, zbyt gorliwy w przestrzeganiu przyjętej przez siebie konwencji. Konwencja poprawności i u jednego i u drugiego poety stała się przeszkodą w realizowaniu zasadniczego postulatu odkrywczoci widzenia. Dlatego i jeden i drugi poeta może uzyskać od czytelnika czy krytyka zaświadczenie o wywiązaniu się z obowiązków poprawności, ale i jednemu i drugiemu poecie i czytelnik i krytyk nie napisze płomiennego listu, który byłby dowodem, że lektura arkuszyowych wierszy była jednocześnie odkrywaniem nowych wzruszeń, odkrywaniem nowych związków między rzeczami.

Lektura tych wierszy jest tylko potwierdzeniem potencjalnych możliwości obydwu poetów, jest tylko poznawaniem ich technicznej sprawności. Jeśli jednak pamiętamy prawo omówione na wstępie i konkluzję wysnutą z tego prawa przed chwilą — nie możemy ukrywać, że nawet stwierdzenie technicznej poprawności u młodych poetów nie jest stwierdzeniem radosnym, nie jest pochwałą. Jest zarzutem zarówno wobec jednego, jak i drugiego poety.

WCZYTUJĄC się w arkusze wiersze Józefa Szczawińskiego trzeba powtórzyć postawioną przez wydawców diagnozę. Stwierdzili oni, że poezja Szczawińskiego jest chora na anemię tematu. Diagnozę tę trzeba tu potwierdzić. Jednocześnie trzeba ją pogłębić. Anemia tematu to już nie tylko niechęć wobec wprowadzenia w krąg poezji własnej wydarzeń o wymiarach ogólnospołecznych czy ogólnonarodowych, to już nie tylko skłonność do zważania skali tematycznej własnych utworów do granic pamiętnika, najściślej osobistych przeżyć, ale to także niechęć lub obawa przed chwytniem głębszych związków między rzeczami, przed odkrywaniem nowych układów sytuacyjnych czy nowych proporcji uczuciowych, to także skłonność ku pewnemu schematyzmowi poznawczemu, ku powtarzaniu ustalonej wiedzy o zjawiskach, ustalonego widzenia świata. Jest rzeczą oczywistą, że taka postawa nie mobilizowała twórcy ku odkrywczoci artystycznej, pozwalała mu, a raczej skazywała go na pozostawanie w kręgu konwencjonalnej techniki nazywania świata i siebie.

Wiersze Józefa Szczawińskiego powielają świat. Wiersze Józefa Szczawińskiego są poetycko notarialnym zapisem fali uczuć, która tylko przepływa przez poetę, lecz nie unosi go ku nowym, nieodkrytym lądom. Jeśli przeczytamy tytułowy wiersz arkusza, jeśli zadamy sobie trud przeanalizowania „Alegorii banalnych” („Jeziorka”, „Fala”, „Kolumny”, „Bluszcz”), jeśli wreszcie zatrzymamy się nad wierszem „Poszukiwanie”, który zamyka wybór arkuszy — nie wydobędziemy z tego przeglądu żadnej nowej wizji pomniejszonego przez poetę świata, nie targnie nam żadna nowa, choćby najmniejszego wymiaru prawda, nie zaskoczy nas żadna, choćby najniklejsza dowodząca swojej odkrywczoci, nowość. Wszystko toczy się gładko torami ustalonej konwencji. Zjawisko to podkreślam szczególnie mocno i opis jego nasycam specjalną goryczą, bo wydaje mi się, że Szczawiński jest jeszcze jednym sygnałem. Poezja wymaga odkrywczoci, poezja zasadza się na odkrywczym widzeniu świata. O tym zapominąć nie wolno.

O tym zaczyna wiedzieć Szczawiński dopiero teraz. Wiersze jego, które po dłuższej przerwie zaczęły się

ukazywać ostatnio w „Tygodniku Powszechnym” czy w „Dziś i Jutro” (aby przypomnieć znane naszym czytelnikom z numeru 313 dwa wiersze pt. „Z listów św. Jakuba” i „Opowieść o sercu szarego człowieka”), świadczą o wejściu na drogę trudniejszą niż droga gładkiej poprawności, świadczą o wybraniu drogi bardziej odkrywczego widzenia świata i człowieka. Tą drogą Szczawiński dojść może i dojść powinien ku swojej nowej, prawdziwie katolickiej poezji.

PROBLEM wyboru nowej drogi inaczej wygląda u Wacława Olszewskiego. Jego arkusze poetyckie jest dokumentem niezdecydowania. Poeta stoi między liryką i satyrą i zastanawia się, której z nich oddać swoją twórczość. Analiza wierszy zebranych w omawianym arkuszu skłania do generalnego wniosku, że liryczny postój Olszewskiego powinien być tylko postojem, jeżeli Olszewski zechce zrozumieć, że grozi mu liryczny zastój. Mówiąc bez metafory: liryczne wiersze Olszewskiego demaskują go jako poetę poprzestającego na poprawności w tym znaczeniu, jakie nadaje temu słowo wstęp mojego artykułu.

Liryka Olszewskiego jest liryką konwencji, liryką rotacyjnych wzruszeń, liryką powielacza. Jedynym jej novum, jedyną odkrywczocią jest zabarwienie ironiczne, jest widzenie świata z ukosa, ale w klimacie wierszy lirycznych element ten czuje się nieswojo, z wyznania często — może wbrew woli autora — czyni groteskę („W sali operacyjnej”).

To stwierdzenie dyktuje jeden wniosek natury postulatycznej: Olszewski powinien się poświęcić satyrze. Duża zdolność chwytnia groteskowych konturów rzeczywistości, wielka pasja plastycznego ujmowania dostrzeżonych w rzeczywistości przeciwieństw, wreszcie celność i świeżość ironicznego słowa udokumentowana wieloma wierszami pomieszczonymi w arkuszu — wszystko to pozwala przypuszczać, że na drodze satyry poeta znajdzie samego siebie, znajdzie możliwość pełnego wykorzystania swoich dyspozycji, możliwość realizowania konsekwentnego poetyckiego programu.

Nie znaczy to wcale, że jego wiersze satyryczne zastrzeżeń w ogóle nie budzą. Niepokoi w nich zbyt przy-

kra czasami skłonność do ryzykownych uogólnień, zbyt niebezpieczna demagogia efektu kalamburowego. O tym jednak czas będzie mówić kiedy indziej. Wiadomo nam, że autor przygotował do druku tom swoich satyr, które mają być wydane przez jedno z głównych wydawnictw państwowych. Tom ten będzie chyba dowodem, że Olszewski dokonał ostatecznego wyboru swojej drogi poetyckiej. Tom ten będzie jednocześnie okazją dla dokładniejszego zbadania jego możliwości, osiągnięć i pomyłek na tej drodze.

NIEWAŻLIWA zasługą obydwu omawianych tu skrótkowo arkuszy jest zarówno ukazanie za pośrednictwem żywego materiału poetyckiego konkretnych zagadnień nurtujących naszą młodą poezję katolicką oraz — w co wierzę głęboko — przyspieszenie procesu krystalizacyjnego młodych poetów, którym zobiektywizowany kształt dzieła i jego obiektywizująca się w odbiorze społecznym ocena pomóc powinny w dalszej pracy.

Tę samą rolę spełniają wszystkie arkusze „Pax“-u. Dlatego poświęciliśmy im tyle uwagi i dlatego zamykając tym artykułem cykl poświęcony im omówieniom zamierzamy w początku przyszłego roku otworzyć na ten temat dyskusję. Zachęcając do niej naszych czytelników przypominamy jednocześnie, że ogólny sąd o arkuszach i ogólne założenie, z jakim przystępowaliśmy do szczegółowych omówień sformułowane było w artykule wstępnym nr 305 z dnia 30.9. pt. „Rzyżko, które musi się opłacić”. W tym samym numerze w artykule pt. „O dwóch takich, co kochają piękno” omawialiśmy arkusze i twórczość Tadeusza Chranawskiego i Mikołaja Rostworowskiego. W numerze następnym (306) z dnia 7 października Jan Prokop w dwóch osobnych artykułach omawiał arkusze Łepkowskiego i Bieszczadowskiego. W numerze 309 z dnia 28 października w artykule Wandy Wejtko omówiony został arkusze i twórczość Macieja Józefa Kononowicza. W numerze 315 z dnia 9 grudnia Alfred Gerard omówił arkusze Anny Pogonowskiej. Wreszcie w numerze bieżącym ten sam autor omawia w osobnym artykule arkusze Marka Antoniego Wasilewskiego. Mój artykuł zamyka więc cykl omawiający dziesięć arkuszyowych pozycji „Pax“-u. Możemy zatem przystąpić wkrótce do dyskusji, która przynieść powinna pogłębienie naszego stosunku do naszej poezji i pomóc powinna w jej trudnym rozwoju.

Zygmunt Lichniak

Pierwszy Polski Słownik Sztuk Plastycznych

PAŃSTWOWY Instytut Sztuki i Państwowy Instytut Wydawniczy w porozumieniu z Instytutem Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego podjęły inicjatywę stworzenia polskiego słownika sztuk plastycznych.

W kołach praktyków sztuki oddawna odczuwano brak jednolitego systemu terminologicznego. Brak ten powodował dość dowolne operowanie terminami w różnych środowiskach naukowych Polski, semantyczne przesunięcia i spolszczenia z różnych języków. Tłumaczyć to należało tym, że historia sztuki w Polsce jest nauką młodą, a podwaliny pod nią wykowane były w różnych rejonach równocześnie. Pod tym względem Polska była dość poważnie zapóźniona i cieszyć się należało, że ten brak zostanie usunięty.

Prace Komitetu Redakcyjnego „Historycznego Słownika Sztuk Plastycznych” są dość daleko zaawansowane. Pierwszy ich etap został ukończony: stworzono kryteria, zgrupowano większość haseł i napisano już szereg artykułów, z tych niektóre, nakładem PIW-u ukazały się w Zeszytach Dyskusyjnym, wydanym z okazji Pierwszego Kongresu Nauki Polskiej. Zasadnicza koncepcja została w toku prac zmieniona na korzyść: zdecydowano, że ograniczanie się do zakresu technologiczno-terminologicznego w dobie braku lub chwilejności podstawowych kryteriów w stosunku do sztuki w ogóle byłoby zawężeniem niesłusznym. Sąd, jak sądzić można z bardzo

jeszcze szczupłego w stosunku do całości zamierzenia Zeszytu, nazwa „słownik” nie będzie nazwą słuszną. Wydawnictwo wypadłoby raczej opatrzeć hasłem „Encyklopedia”, „Mała Encyklopedia”, „Vade Mecum” czy t.p. Prócz części pierwszej — „Terminy i pojęcia” zawiera Zeszyt Dyskusyjny, będący wiernym prototypem „słownika” część drugą, nazwaną „Dzieje-Twórcy-Dzieła”, a więc część ściśle historyczną. A już w części pierwszej Zeszytu znajdujemy dość obszernie sformułowania teoretyczno-metodologiczne, np. pod hasłem „realizm” czy „Leninowska teoria odbicia”.

Część historyczna opracowana jest wedle zasad marksistowskiej metodologii, przy czym rysuje się tu pewna niejednorodność przesłanek wynika stąd, że słownik opracowywany jest przez szereg specjalistów z różnych środowisk Polski i mimo ściśle kolektywnej pracy pełno indywidualnego podejścia rysuje się gdzieś wyraźniej.

Zeszyt Dyskusyjny wydany jest bardzo starannie na papierze ilustracyjnym bezdrzewnym, pozwalającym na wyraźne reprodukcje nawet bardzo drobnych dzieł sztuki.

Można mieć nadzieję, że parotomowe wydawnictwo „Historyczny Słownik Sztuk Plastycznych” (a może jednak „Encyklopedia”) będzie książką równie pięknie wydaną, bo, że przyniesie korzyść, jest rzeczą pewną.

Sak.

Alfred GERARD

NAD ARKUSZAMI „PAX-u“

NOTKI KULTURALNE

WIDZENIE I WZRUSZENIE

(o wierszach M. A. Wasilewskiego)

PROPONUJĘ wam wspólną lekturę. Myślę że wypada zacząć od rozszyfrowania sensu utajonego w tytule arkusza poetyckiego, który tu leży przed nami. „Gdzie niebo mieszka“ czytamy i zaraz przychodzi mi na myśl, że skoro Wasilewski tak te wiersze nazwał, to znaczy, że w tym określeniu zawiera się jakaś wskazówka.

Lecz czego ona dotyczy? Sposobu widzenia świata? Ta hipoteza wydaje mi się dość prawdopodobna, wobec tego spróbuję ją uzasadnić. Zastanawiające jest, że autor nie opatrzył tytułu swej książki znakiem zapytania. Zbadajmy więc jak on to niebo w tekście umiejscowił. Motyw ten u katolickiego poety nie może być pozbawiony znaczenia. Zobaczymy co z niego wydożył poeta? „Znam domy gdzie mieszka tylko niebo — czytamy. Piętra patrzą niebiesko i niemo, a w dach wprawiono gwiazdy“.

Jest to katastroficzny firmament. Sklepienie w czarnej oprawie ruin. Przestrzeń przeświecająca przez ramy okienne. Kształt świata na miarę kłęski człowieka. Czy widzicie ten pomniejszony horyzont niemal bez reszty zawarty w profilu rozwalonych bombami kamienie? Tak ujrzał go i utrwalił. W wierszu tym słycać serca bijące w kamieniu, żywcom zamurwane w betonie. Cały utwór rzecz można wysławić potęgę martwoży. W krajobrazie tym poeta odkrywa moc przeciwną życiu. W jego ujęciu nawet ślady domów przestają być ludzką częścią śmiertelnie ugodzonego pejzażu. Tu nawet samolot pojawia się jak złe wspomnienie. Dobrze. Ale czy się panu ten utwór podoba, zapyta znierzępliwy czytelnik. Tak! No to proszę powiedzieć dlaczego. Zastanawiam się chwilę i widzę, że podoba mi się nie tyle sam opis, co wplecioną w ten opis sytuacja liryczna. Ta, która tutaj cytuję: „Rozgryzają usta do krwi ocaleni. W noc późną młoda dziewczyna słucha czy dziecko w ceglach nie kwili...“

Przeszłość wtargnęła tu jak gdyby w nurt teraźniejszości. Z nagłego pomieszania czasów przejmujące wytknięte wzruszenie.

BLAHOŚĆ I ŚMIERĆ

PRZECZYTAJMY teraz drugi wiersz: Oto „ktoś rzucił na trakt czerwone czereśnie“. Ich kolor przypomina pocie usta rozstrzelanej. Końcowa pointa brzmi tak: „Nie wiem co myślała ostatnią ziemską myślą. Kiedy krew twoja tryskała na bruk, jak sok zdeptanych czereśni. — Wpatrzony w miążg owoców nie do wiem się już nigdy“.

Wasilewski napina tutaj luk wielkiej metafory kojarząc ze sobą treści niewspółmierne i pozornie najbardziej odległe. Ale już przy powtórnym czytaniu chwytamy wewnętrzną celowość tego zestawienia. Nie chodzi tu o zwykłą analogię barw. To byłoby dosyć banalne. Sądzę, że w danym wypadku nawet nieważny jest kontrast zachodzący pomiędzy głupstwem a odpowiedzialnością mu kolorystycznie tragedią. Na mocy takich porównań przetasowaniu ulega hierarchia ważności spraw świata. Dialektyczna teza traktująca o tym, że wszystko się wiąże i łączy, dochodzi tutaj do głosu w sposobie widzenia rzeczy. Ale prawda tkwi jeszcze gdzie indziej. Wiadomo, że w oczach hitlerowca krew ludzka znaczyła mniej, niż sok wytryskający z ciśniętych na ziemię owoców. Powiedziawszy to od razu zdajemy sobie sprawę z historycznej wymowy i logiki tego obrazu. Bez wątplenia ukazano tu pewien przeraźliwy aspekt nieludzkiego stylu odczuwania, właściwy dla faszystowskiej epoki.

Biorę następny utwór. Zaczynijmy czytać go na głos. „Słońce na zachodzie zaszło lampionem“! Podoba wam się ten lampion? Mnie nie. To jest przecież zużyta metafora, rekwiwit z luna parku, sztuczny i nierzeczywisty. Po-

cóż patrzeć na rzeczywistość poprzez dekorację? Zaden lampion nie może dać wyobrażenia o słońcu, to jasne. Dokonano tu tak znawej redukcji: czyli zubożenia opisanego zjawiska. Ani myślę występować przeciwko tej tendencji. Dobrze wiem, że może ona dawać świetne rezultaty. Zwłaszcza w ujęciu satyrycznym modne jest pomniejszanie olśniewających elementów naszego istnienia. Lecz cały dowcip polega wówczas na ujawnieniu dysproporcji zawartej w istocie danego porównania. Metafora może być także narzędziem ataku na rzecz opisywaną. Wtedy zresztą bywa najbardziej skuteczna, gdy ją obnaża albo demaskuje, zamiast się do niej stosować. Ale nie znegujemy się dłużej nad tym nieszczęsnym szczegółem. Pedanteria jest zawsze męcząca.

Czytamy dalej: „Koszule na sznurach wzniosły w górę ręce“. Nie widzę tych gestów błagalnych. Raczej białe szeregi wisielców. Czy to skojarzenie wynika z treści wiersza — trudno mi powiedzieć. Być może autor nie chciał takiego widzenia wywołać. Cóż kiedy narzuca się ono bezwiednie. W tym utworze Wasilewski stanowczo nie ma szczęścia do określeń dotyczących słońca. Ani cukierek, ani żółty przysmak nie jest wyrażeniem zdolnym je w pełni ukazać. Nawet ten kto odrzuci kryteria realistyczne jako nieprzydatne, będzie musiał przyznać, że epitet ten pozbawione są wszelkiej mocy wizjonerskiej. Mogłyby ostatecznie ująć w ramach świadomej groteski, tkwi w nich bowiem ładunek mimowolnego humoru. Lecz zasadnicza tonacja wiersza jest inna, na pewno nie satyryczna, dla tego też porównania źle brzmią, brak dla nich uzasadnienia w całości. Autor najpierw robi ze słońca karmelek, a potem pisze, że ono kurczy się jak balon i zmniejsza swą wielkość. Obserwujemy tu wyraźne przedstawienie kolejności widzeń narzucających się wyobraźni w zupełnie innym porządku niż tego chce nasz poeta. Ten balon (też odpowiednio banalny) powinien był wystąpić wcześniej zanim jeszcze słońce przybrało postać cukierka. Inaczej brak stopniowania proporcji!

Przyjrzyjmy się teraz samej koncepcji utworu. Mamy tu kokietowanie codziennością dobrze znane z okresu Skamandra. Wciąż daje się do poznania, że niby nie specjalnego, a wszystko razem — poezja wynikająca z rejestru rzeczy powszednich, zaledwie godnych uwagi. Przytoczmy tu zakończenie tej widołkowskiej lirycznej: „Dni powszednie moje, moje dni zwyczajne, coś się czai na was, coś grozi z daleka. A więc krzyżę odrzućcie pokrwawiony bagnety! Nie chcę wojny! Nie chcę zabijać człowieka“!

Słusznie. Ale pod jednym warunkiem! Rzeczywistość przedstawiona w wierszu musi posiadać ciężar gatunkowy współmierny do wyrastających z niej hasel. Tylko wtedy znajduje w nich pełne pokrycie. Tutaj niestety go nie ma. Zarzykowałbym nawet twierdzenie, że nikt nie zamierza ocalić takiego kształtu świata, jaki nam zaprezentowano w tej wiośnie 1949 r. Pomijam już fakt, że nie znać na nim śladu jest istocie dloni. Gorzej, że był ten jest w istocie czymś bezpostaciowym. Zbudowano go z rekwiwitów mieszczańskich. Jego zwyczajność odstręcza. Nas przede wszystkim pociągają dziś pokój będący sprzymierzeniem wszechstronnie pojętej twórczości. Tam gdzie te współczynniki nie grają, literatura przestaje być żywa.

Odwracamy kartę. Następny wiersz to „Modlitwa o człowieczeństwo“. Zaczyna się trochę niezręcznie: „Wargi moje są wąskie gdy mam zacięte usta Spójrz na mą mulość, Panie wargi mi w uśmiech ustaw“! Zawiodło tutaj po czucie językowe. Zwrót ten jest sztuczny i brzydki. Utwór zawiera prośbę o wyzwolenie od gniewu, skąpstwa, pychy i pożądania. Człowieczeństwo u-

tożsamione zostało ze stanem bezgrzesznego trwania. Osiąga je ten, kto jest wolny od grzechu, kto zмага się z namiętnością przy pomocy Łaski. Istnienie polega na kształtowaniu natury w sobie i poza sobą. Z tego punktu widzenia nawet modlitwa staje się narzędziem walki z tym, co jest w nas pierwotne, instynktowne i nieujarzmione. Koncepcja wyraźna i mocna. Nie wiadomo jednak, czy twórcy w rodzaju Szekspira mogliby wywieść z niej swoje dramaty? Kultura wyrasta z tego co elementarne. Gdy ukazują człowieka, odkrywa w nim konflikt moralny. Czytając dalej natrafiam na zachwycający motyw. Nazywa się to „Odległość niewymierna“ a pierwsze słowa brzmią tak:

CHIŃSKIE WIDZENIE

„Oddalona jesteś o zapach kwiatu, oddalona jesteś o gwiazd pociągu, o jedne jutro pojutrze i wieczór“. — A kilka linijek dalej, posłuchajcie, to fragment godny uwagi: „W nocy wybiegam na tor między szyn i pługę wzdłuż nich jak ścigacz po fali, Trzymając w ręce niby dróżnik lampę — żółty tulipan“. Prawda, jakie to chińskie w tonacji? Ciekawy jestem jak wam się podoba przestrzeń zamknięta w doświadczeniu woni? I ten facet ścigający dziewczynę z kwiatem wśród noc. Takiego wiersza nie powstydziłby się Lilię-pa. Wasilewski ma talent do komponowania lirycznych miniatur. Dostępnym na tym. Zapoznajmy się z treścią „Wieczoru“.

METAFIZYKA WIECZORU

„Wieczór to trwożne czekanie na kogoś, A może na coś? — już sam dobrze nie wiem. To cichy skrzyp jurki, kroki na schodach i głos wtórujący jesiennej ulewie. Złócić się pali płomień karbidówki rzucając światło na zacieki pleśni. Ktoś ręką miękka do drzwi już kołata, jakby się upart by nie dać mi tęsknić“.

Tak. Całe życie jest oczekiwaniem na tajemniczą godzinę spełnienia, na moment wielkiego bilansu, gdy wszystkie wysiłki wreszcie się zsumują, a byt człowieka ukáže swój nadrzędny sens zawarty w nowej syntezie. Egzystencja nasza doświadczana w minimalnej skali dni i godzin, rozmienianych ją bezustannie na drobne i oderwane czynności, nigdy nie ukazuje się cała. Jest ona zawsze czymś cząstkowym i fragmentarycznym, ponieważ sam proces przemijania zaciera jasność obrazu. Już to, że zawsze musimy doznawać istnienia przez pryzmat jakiegoś momentu czy sytuacji psychologicznej — już to samo, powtarzam, zaciętna pole widzenia i pozbawia nas poczucia ciągłości tego, co w zasadzie musi okazać się niepodzielne. Lecz nawet fakt własnego trwania dostępny jest człowiekowi jedynie w odłankach, dlatego nie można go pojąć ani ogarnąć od razu. Wszystko, co przeżywamy, odbywa się po kolei, wiadomo jednak, że ta pozorną kolejność rozbiła i niweczy, a może tylko przesłania ów wewnętrzny nurt jednoczący odrębne okresy. Lecz obnażenie go w sobie nie jest rzeczą łatwą. Jedynie w rzadkich momentach odkrywamy tę wież strukturalną założoną u podstaw istnienia. Liryka zawsze była narzędziem ujawniania duchowych tajemnic w człowieku. Omawiany tutaj wiersz Wasilewskiego, tętni ukrytą nadzieją. Przyjdzie ktoś i ukáže nam na nowo nas samych, wyjawi nam to, czym jesteśmy.

Ten utwór wynika z prawdziwie poetyckiego widzenia. Nareszcie ktoś znowu zмага się z „gościem nieznanym“. Ow motyw musi powracać w coraz to nowej postaci. Przechywał go nie tylko Maeterlinck ale i Jerzy Liebert wypatrujący symboliczną postacią na horyzoncie. Pojawienie się nowego człowieka w naszym życiu zawsze coś oznacza. Każde spotkanie może być za-

powiedzią przemiany. Godzina, w której człowiek osiąga swą pełnię — oto cel poszukiwań poezji. Wasilewski już wie, o co chodzi. Powinien iść po tej linii, bo to, co tutaj osiągnął, może się bardzo podobać. Jest to pisarz rozporządzający dużą skalą możliwości powieściowych nawet epickich. Przekonała mnie o tym lektura „Studni w Sini-scola“. Ten znakomity opis mógłby być częścią wielkiego poematu, nie należy on jednak do liryki. Plastyka nie zastąpi uczucia. Uczucie to co innego niż obraz, choć często pozornie się z nim utożsamia. Trzeba odróżnić widzenia od wzruszeń. Tego się u nas nie robi, stąd coraz częściej bywa mieszanina zgoła odrębnych gatunków. W swoim czasie Przybysz próbował przekładać wszystkie emocje na krajobrazy. To mogło być dobre jako eksperyment, w ostateczności prowadzi jednak do prozy poetyckiej.

TRYUMFUJĄCA WSPÓLCZESNOŚĆ

Zobaczymy teraz w jaki sposób rzeczywistość określa charakter poezji. Nowa tematyka zdecydowanie przekształca jej rytm, liryka zmienia swą funkcję w zelknięciu ze światem. Przejmaje służbę biernemu wyrażaniu uczuć, wchłania w siebie stokrotny patos produkcji i walki. W wierszu „Budowa“ czytamy: „Dłonie przywarły do lin, chwyciły się mury zwalisk, w gruz się kruszą ruiny... liny i dłonie ze stali...“. Tak. Treść twórczości jest twórczość. Proces krystalizacji wartości. Słowo wznosi swą moc gdy towarzyszy działaniu. W poezji widzimy dziś przede wszystkim manifestację energii, która nasz byt przeobraża. Wasilewski już wtargnął w ten nurt mocny i dramatyczny. Odnajdujemy go w fragmencie poematu o trasie W—Z.

„Trasa przecina noc jak światło, Rozdziela mrok na dwie połowy. Znowu bezsilny cieni notlok Wobec rozbitku odbudowy“

DOBRE I ZŁE

I wreszcie ostatni utwór „Pokusa“, rzecz można najbardziej staroświecki i tradycyjny, zawiera jednak kilka świeżych i oryginalnych metafor sąsiadujących niekiedy z banałem. Tu: „gwiazdy twardy w niebie jak kamienie z procy“. (Dobre, choć pozbawione koloru). Poeta idzie w ciemność „jak bosy misjonarz nawracać kuszany na szepci ich prawdziwość“. Ten zwrot bardzo mi się podoba, zaraz wyjaśnię dlaczego. Odkrywam w nim istotne powołanie sztuki uświadamiającej rzeczom utajone w nich treści, niewyzwolone znaczenia. Być może przyroda ustokrotnie swój byt w dziele artysty. Świat jest spragniony wyrazu. Szuka ujścia w nas. W każdym widzeniu poetyckim mogą tkwić pewne aluzje intelektualne. Im lepiej są zamaskowane, tym silniej na nas działają.

Czytamy teraz o liściach, które blyszczą jak kropki oliwy. Świetne! W tym jest wszystko: kolor, forma i ruch, odcięcie złościsto brunatny. Widać jak to się mieni i drga. Dalej znów „księżyc na drzewie zółci się jak wilga“. Spróbujmy go sobie wyobrazić. Będzie to chyba sierp malenki, delikatny umierający światłem? Niestety kilka linijek dalej zaczynają się rzeczy niedobre i śmieszne. „Mrok uderza głucho w błady beben skroni“, „Pulce na kształt szponów obejmują nicotę“. Straszna młodopolszczyzna! A potem już sztampowa za sztampą „królestwo cieni“, „Świat zły i zwienny świat cudu“. Tak nie można pisać! Nawet do kabaretu. To dobrze, że od tych fałszywych halucynacji uwolnił nas warkot motoru. Zyczymy autorowi, aby przewycięzył romantyczny ciemność i łatwe sentymentalne nastroje niegodne współczesności... Na syntetyczną ocenę tych kilkunastu wierszy jest dziś stanowczo za wcześnie. Dlatego świadomie rezygnuję z ogólnikowej oceny na rzecz konkretnego szczegółu.

Alfred Gerard

W r. 1954 przypada 100 rocznica ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. W związku z tą rocznicą w szerokich kołach katolickich dyskutowana jest sprawa beatyfikacji wielkiego filozofa katolickiego Jana Duns Scota, który przyczynił się bardzo do ogłoszenia tego dogmatu.

×

Pierwsie chrześcijanie dotarli w góry Tybetu w XVII w., założyli oni tam pierwsze katolickie kolonie, nie przetrwały one jednak długo. W XVIII wieku ponownie dotarli tam misjonarze, uzyskali nawet wtedy prawo wstępu do stolicy Tybetu, Lhasy, ale, niestety, fanatyczni wyznawcy lamaizmu nie dopuszczali do jakiegokolwiek rozwoju religii katolickiej. Istniało jeszcze przez dłuższy czas kilka kolonii katolickich na pograniczu Tybetu i Chin, ale i te zniszczyli lamaici. Obecnie w Tybecie nie ma ani jednego katolickiego księdza.

×

W Tybecie zaczęło obecnie wychodzić pierwsze tybetańskie czasopismo. Jest to pierwsze w historii Tybetu pismo w tybetańskim języku. Pismo to wychodzi co 10 dni w nakładzie 450.000 egzemplarzy, a poświęcone jest zagadnieniom polityki wewnętrznej i zagranicznej, jak również sprawom gospodarczym i kulturalnym.

×

Radzieckie wydawnictwo „Sowiecki pisarz“ planuje na 1952 rok wydanie 298 pozycji beletrystycznych o nakładzie 10 milionów egzemplarzy.

×

Na 20 katedr języka celtyckiego na uniwersytetach europejskich tylko dwie znajdują się we Francji, reszta znajduje się w Anglii, Danii, Niemczech, Norwegii.

×

Instytut Lingwistyczny Akademii Nauk na Węgrzech rozpoczął prace nad ustaleniem atlasu językowego Węgier. Prace, które dotyczą wszystkich krajów dialektów prowadzone są już w 330 gminach.

×

Malarze Picasso, Matisse, Chagall, Braque, Prévort, jak również wielu pisarzy i artystów francuskich zafiarowali szereg swych oryginalnych prac celem sprzedania ich, a pieniądze uzyskane z tej sprzedaży przeznaczyli na pomoc dla ofiar katastrofalnej powodzi we Włoszech.

×

Międzynarodowa nagroda poetycka Syrakuz (300.000 lirów) została przyznana Franciszkowi Jean Roussetowi za zbiór jego poezji pt. „Pas le droit de crier“ (Brak prawa do krzyku).

×

W ostatnich dniach listopada r. b. odbyły się we Francji uzupełniające wybory do Akademii Nauk. Wskazało miejsce po zmarłym, zmarłym niedawno fizyku, Aimé Cotton. Wśród wielu kandydatów faworytami również Irene Joliot Curie. 37 głosami został wybrany Eugène Darmois. 31 głosów przeciw niemu padło dla Francis Perrin, który został mianowany wysokim komisarzem do badania energii atomowej na miejsce Fryderyka Joliot-Curie.

Trzeba zaznaczyć, że dawniej naszą wielką rodaczką Maria Curie-Skłodowska również nie była do Akademii Nauk, jak chociażby jej córka Irene Joliot-Curie.

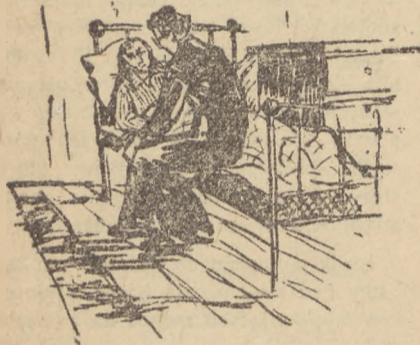
Andrzej ŁEPKOWSKI

Rys. Anna DAMBSKA

N A P L E B A N I I

(fragment powieści «Ludzie znad zatoki»)

POKOIK na plebanii, który zajmował Kópke, niczym nie przypominał jego małego mieszkanka nad trafiką. Nie było tu drobiazgów, figurek z rosenthalowskiej porcelany, nożyczek do przycinania cygar, fotografii, miniaturowych. Było zaciszenie, przyjemnie i pachniało świeżym tynkiem. Brzuchata komoda i duże łóżko stanowiły proste umeblowanie. Oprócz oleodruku, przedstawiającego Włocławca Pańskiego, ściany były puste. W oknie stały ciemnozielone mirty. Widok na kominy niedalekiej wędzarni można było rozszerzyć stojąc w rogu za komodą.



Odkrywało się wtedy kwadracik morza, wcisnięty pomiędzy domy. Nakrywały go mgliste wzgórza po tamtej stronie zatoki. Czasem biała łódź rozjaśniała granatowy wycinek, a wtedy w pokoiku robiło się jeszcze pogodniej.

Miejsce pomiędzy komodą a oknem wybrał sobie Kópke na popołudniowe drzemki. Przed zaśnięciem obserwował gołębie wygrzewające się na dachu sąsiedniego domu, albo błądził wzrokiem po masztach kutrów leżących w porcie. Z początkiem maja zaczął uchylać okno i wdychać ostre, morskie powietrze, pachnące jodem, wydzielanym przez gnijące wodorosty. Po ciężkim zapaleniu płuc, które przeszedł w marcu, powoli odzyskiwał siły, ale wydawało się, że to siły wystarczające na krótko. Skleroza korzystając z osłabienia organizmu zrobiła duże postępy. Kópke w ciągu kilku miesięcy, stał się starcem. Zapominał, zdarzało się, że mówił od rzeczy, tracił słuch. Zaprzęgnął nagle wrócić do Gdańska. Wspominał ulubione koty, miał nadzieję zastać je jeszcze przy życiu. „Już mi teraz nikt nic nie zrobi, mogę spokojnie leżeć” — perswadował młodemu księdzu. „Poczekamy jeszcze” — mówił wikary przewracając karty polskich czasopism. Stary, nie znając języka, przestawał na oledaniu ilustracji. Był to lipiec 1939 roku. Ale nastrój wojenny nie docierał do białego pokoiku. Ksiądz Wiśniewski przychodził kilka razy na dzień, rozmawiali o problemach filozoficznych które absorbowwały Kópkego. Czasem wpadał któryś z Selinów, przy nosił dobre cygara lub trochę czekoladek.

Niedzielnym gościem był Jan Babisz, ojciec małego Szczepana. Znał Kópkego od dawna. Pracując w Gdańsku na poczcie był niedługo stałym klientem w jego trafikce. „To naprawdę porządny Niemiec” — chwalił go w rozmowach z wikarym. Ksiądz w takich wypadkach podkreślał swoją samarytańską bezstronność, ale w głębi duszy był zadowolony, że los zesłał mu człowieka godnego pomocy.

Wikary Paweł Wiśniewski dopiero niedawno otrzymał święcenia. Niespodziewanie znalazł się w rybackiej parafii, przygotowany na szerzenie przykazań wiary i miłości. Został niezdrowe stosunki no-

plebanii i chłód ze strony parafian. Jego zdolności kaznodziejskie i szczerza, choć nie pozbawiona osobistych ambicji, chęć spełniania dobrych uczynków w ciągu jednego tygodnia stały się na tle tamtych spraw beztreściwym programem. Wikary zakasał rękawy i zaczął robić porządek. Wysłuchiwał skarg, grzebał w papierach rozrzuconych po wszystkich kątach kancelarii, myślał o odnowieniu przeciekającego dachu na kościele. Proboszcz tak dalece nie zajmował się tymi rzeczami, że dla wygody zostawił Wiśniewskiemu wolną rękę. Ciągłe przesiadywał po znajomych plebanach albo leczył swoje urojone choroby. Kiedy młody ksiądz uporał się wreszcie z pierwszymi potrzebami parafii, przypadek zesłał mu nowy kłopot. Idąc przez wieś trafił na sprzeczkę Konkela z Seimami. Chodziło o jakiego chorego. Wmieszawszy się do rozmowy, szybko dowiedział się szczegółów: Marcin wyrzucił z domu uratowanego przez braci Niemca, ściganego przez gestapo.

Nadarzała się okazja do wypróbowania swojej ofiarności. W rezultacie Kópke zamieszkał na plebanii, za co obdarzył księdza bezgraniczną wdzięcznością i zaufaniem.

Dzisiaj leżąc przed południem w łóżku, stary jak zwykle oczekiwał wizyty opiekuna. Słyszając, że organy w kościele grzmiały ostatnim, długim oddechem, usiadł i wzięszy lusterko zaczął poprawiać zlepięte, siwe włosy. Troska o estetyczny wygląd nie opuszczała go pomimo podeszłego wieku i choroby.

Ksiądz Wiśniewski przyszedł usmiechnięty i przycupnął na rogu łóżka. Wyglądał na kleryka, cerę miał gładką, prawie dziecięcą, tylko rogowe okulary dodawały mu powagi.

— Jak się pan czuje? — spytał dobrą niemiecką, przechylał się w stronę poduszki.

Jego kędzierzawa czarna czupryna, poskręcana w równe obrączki, robiła go podobnym do żyda lub murzyna. Duże piwne oczy, którymi uważnie okrążał twarz starego przybierały na przemian wyraz czuły i przenikliwy, niemal — drapieżny.

— Jestem trochę słabszy — odparł Kópke.

— Upał nie dobry jest na serce — stwierdził ksiądz. — Dopiero czerwiec a już tak gorąco.

— Dzisiaj nawet deszczu nie będzie. Chmury nadciągają zawsze od Gdańska — z moich stron.

Chory uśmiechnął się i pokazał na błękitny wycinek nieba nieruchomo stojący nad portem. Wikary podniósł się, wyjrzał przez okno i podskoczywszy usiadł na parapacie. Właśnie rozległ się bliski gwizd pociągu.

— Pośpieszny z Warszawy — informował, wychylając się w tył. — Letnicy przyjechali, będzie koło dziesięciu osób. — Parsknął wesoło: — Zawsze przychodzą pytać o mieszkanie, nie przypuszczając, że to plebania. Odprawiam ich z przykrością. — Czasem mają szczerze, otwarte twarze. Są speszeni widząc sutanne.

— Ksiądz wszystkich lubi...

— Tak, cieszę się, że mogę być do nich podobny. Myśli pan, że ka plan, który rażąco odbija od ogółu, dobrze spełnia swoje powołanie? — dodał, uważnie obserwując starego.

Kópke zastanowił się:

— Chyba tak, bo wtedy podziwiamy go a tym samym ufamy mu...

— Acha, więc wzbudzenie podziwu jest zarazem gwarancją zaufania? a przecież podziwiać możemy papugę, która wykrzykuje wyuczone słowa nie rozumiejąc ich. Czy uwierzymy papudze w nagrodę za to, że ma ładne piórka? — Chciał bym przez pewien czas być duchownym bez sutanny. Rozmawiał z ludźmi o sensie istnienia i o Bogu nie występując w roli arbitra. Powiem panu, jeszcze do niedawna miałem ambicje kaznodziejskie, ale doszedłem do wniosku, że dobre kazanie to popiół, a złe — strata czasu. Trzeba szukać z każdym z osobna. Myśli ludzkie są leniwe, więc trzeba je jakoś rozruszać — zmusić do zabawy...

Stary słuchał z wielkim zaciekawieniem. Był katolikiem, ale abso lutnie nie trawił podobnych pomysłów.

— Wydaje mi się, że jestem za stary, żeby to rozumieć. Ksiądz myśli o jakiejś rewolucji w łonie Kościoła. Lepiej niech pozostanie, jak było — powiedział szorstko, prawie gniewnie.

Wikary Wiśniewski zamilkł i zeskoczywszy z okna zaczął się przechadzać po pokoju. Długimi, elastycznymi krokami odmierzał deski podłogi, stawiając stopy pomiędzy szparami blednącymi poprzecznie.

— Nie chcę robić żadnych przewrotów, dążę tylko do zredukowania lenistwa mózgow, które się panoszy — powiedział szybko, jednym haustem łapiąc nowy zapas powietrza. — Wszystko złe pochodzi z bezmyślności, mądrość jest zawsze dobra...

Bez przerwy miotał się po pokoju, cytując konkretne przykłady dla poparcia swojej tezy. Kópke przez cały czas wpatrywał się w oleodruk — kopię Ostatniej Wierzczy Leonarda. Duża, zielona muśka siadała mu uporczywie na policzku, więc klepał się niezdarnym starczym ruchem. Potem gniótł w

dłoni urojoną ofiarę, która tymczasem cała i zdrowa krążyła pod sufitem.

— To bardzo nowoczesne myśli — przerwał księdzu. — Trzeba pokoleń, żeby do nich dojrzały.

— Nowoczesne...? Większość z nich zawiera Ewangelię, której nie stety nie umiemy czytać. Te rzeczy wydają się nam zbyt proste, żeby nad nimi się zastanawiać i tu leży wielka pomyłka. Człowiek, który doszedł dojrzałego wieku, sądzi, że posiadał wszystkie rozumy...

Wikary Wiśniewski zatrzymał się w pół kroku. Jego błyszczące źrenice utkwiły na chwilę w twarzy chorego.

— Czy nie lepiej wspólnie osiągnąć trzeźwość w ocenie wszystkiego, co nas otacza? Nie rezygnować z przemyslenia niczego, sądząc, że jedno jest za trudne, drugie zbyt łatwe. Taki podział problemów doprowadził do powszechnego oportunizmu.

Złożył usta w trąbkę i namyślał się.



— Mam siostrę, która wyszła za jednego z tych ludzi, nie umiających spojrzeć poza koniec własnego nosa. Żyją wygodnie, mają wilę, samochód. Prowadzą tak zwane życie kulturalne. Proszę porozmawiać z nimi o sztuce, o literaturze, o wynalazkach ostatniej doby. Są jak dzieci nie umiające lekcyj a przecież mają pretensje do mecenatu nad sztuką. Kupują o-

brazy, dywany — pozwalają się na bić w butelkę antykwariatem, po to tylko, żeby zaświecić w oczy jakimś „Głerymskim” albo makatą perską. Jeżeli w tych sprawach, o które się troszcza, nie są choć w części kompetentni, coż mówić o moralności, etyce, sprawiedliwości, o tym wszystkim, co stoi u nich na dalekim planie. Życie wewnętrzne nie może być na pokaz, a więc traktuje się je jako ostateczność...

Na ścieżce wiodącej przez ogródek zaklekotały drewniak. Ksiądz wyjrzał oknem i ucieszył się:

— Babisz...! — Tam jest otwarte, tylko trzeba trochę trzeba unieść — pouczał.

Za chwilę skrzypienie schodów oznajmiło, że gość zmierza na górę. Kópke strzepnął z koidry okruski kruchych ciastek, które jadł rano i podniósł się, wyczekując.

Jan Babisz był roslim mężczyzną z niebieskimi oczami. Miał na sobie błękitną koszulę z złotą pętlą na kołnierzu. Spodnie wdział szare — rybackie. Stukał po podłodze drewnianymi sandałami. Z wyciągniętą dłonią podszedł do łóżka. Po przywitaniu wydobyl zza kołnierza zyłek i ciężko siadając, spojrzął na księdza:

— Göbbelsa przyjmowaliśmy wczoraj w Gdańsku. Mowę miał — przeciwko Polakom... Taki mały... kulawy, zupełnie podobny do małpy. Można go było z procy zastrzelić, jakby tak dobrze wycelowali... — Babisz zrobił widełki z palców i machnął nimi w kierunku pieca. — Pyk! I już... — zaśmiał się.

Włożył zaciśnięte pięście w kieszenie i wyprężył się chowając głowę w ramionach. Spochmurniał.

— Ale naprawdę to w Gdańsku coraz gorzej. Tylko patrzeć kiedy się zacznie...

Potoczyła się rozmowa nad polemą gdańską gazetą, która gość wyciągnął z kieszeni. Kópke nie zważając na osłabienie wsunął nogi do pluszowych pantofli i podnie rając się łaską podszedł do stołu.

Antoni Łepkowski

Debiut zwracający uwagę

KAZDA nowa książka jest przyjemnością. Każdy debiut odczuwamy jako szczególny kredyt zaufania, którym autor czytelnika obdarza. I dlatego, o ile już przypada nam w udziale mówić o książce w ogóle, o debiucie zaś w szczególności — niech sąd nasz, choćby miał być podobny do sadu złotnika z bajki, będzie rzeczywiście „bezwzględny a szczerzy”.

Łatwa do zauważenia jest dwutorowość poezji Gaworskiego¹⁾. W obur wypadkach jednoznaczna ideologicznie, zwykle nie pozbawiona akcentów społecznych — dzieli się ona jednak wyraźnie na literacką publicystykę oraz liryczną osobistą. Pierwsza z wymienionych — tak się jakoś złożyło — jest na ogół mniej ciekawa, często banalna, niekiedy osłabiona znanymi uderzającymi niedopracowaniami formalnego. Przykłady znajdujemy bez trudu. Oto z wiersza pod tytułem „Droga powrotu”, dedykowanego „autochtonie znad Łeby” dowiadujemy się, że „Śniegu, co jutro będzie, nigdy lzy nie ujarzmią”, dalej zaś czytamy:

Za rok, za dwa, za dziesięć, (!)
gdy spojrzysz w oczu syna,
który po polsku ciebie
pozdrowi cieniem słowem —
łatwiej niż dziś uniesiesz (!)
przemian trudne godziny (?)
i jak mewa na Łebie (?)
pieśnią powitasz nowe (!?)

(podkreślenia moje — „K P”)

Komentarz wydaje się zbyteczny. Nie twierdzę, iż (z wyjątkiem ostatniego wiersza, bo niby jak wśród tego śniegu bez lzy — nowe trudne godziny?)

¹⁾ Henryk Gaworski: „Przed nami życie”, „Czytelnik” 1951, str. 76 + 4 nb

czytelnik nie do myśli się, o co poecie chodziło, ale przecież sam fakt konieczności owego domyślenia się osłabia komunikatywność poezji. A poza tym — przynajmniej chyba każdy — zacytowana zwrotka napisana jest i sztucznie i niechlujnie...

Dygresja. Kto widział jakiś pochód, manifestację? Kto pamięta slogany w rodzaju: „W od-po-wie-dzi na a-to-mv bu-du-je-my no-we do-my!” skandowane zwykle przy takich okazjach? Czy ten lub jemu podobny slogan zupełnie zrozumiały, prawidłowo funkcjonujący zarówno pod względem psychologicznym jak i socjologicznym w czasie masówki, odpowiedni na transparenty, czy slogan taki — powtarzamy — nazwiemy poezją? — Raczej nie. Toteż smutno się robi, gdy poeta przemycza slogany Gaworski pisze:

Traktor
skosi
spółdzielcze tany —
zręczym z chłopskich pleców

lachmany

W dodatku poprzednia zwrotka tego samego utworu („Pieśni o pierwszym wieku”, V) opiewa: „Traktor — zaorze kusych pół lachman, (!) — najbardziej wiosną zapachną” (!)...

Gaworski bierze czynny udział w życiu społecznym. Gorzej natomiast, gdy pisze wiersze, przy których ma się ochotę posądzać ich autora o spisywanie wierszów przemówień metodą memotechniczną! Ten charakter — co aż dziwi — ma „Słowo o sobie” — utwór, który nadto sugeruje, iż Gaworski ideologicznie swą ofiarę na prymitywnej argumentacji, że — po prostu — jest mu coraz lepiej.

Pewna, dopiero co wtykaną — i może aż przejaskrawioną — r...

ność Gaworskiego w sięganiu po „wielkie” tematy, przypisać trzeba temu, że potrafi on afirmować wyłącznie rzeczy już przecież przez siebie zastane; do nowego, rodzającego się okresu zamierza dotrzeć „przez gwiazdne szlaki”, a znowu nie stać go zupełnie na obejrzenie się wstecz — bez niechęci czy wręcz nienawiści.

Tu zbliżamy się do Gaworskiego — liryka. Poeta najwidoczniej czuje się na tym terenie o wiele swobodniejszy. Wiersze proste, bezpretensjonalne, niektóre („Spostrzeżenia”, „Widzenia”, „Fantazja wiosenna”) aż zbytecznie unafionowane. Okazuje się, że nie obra jest Gaworskiemu staranna selekcja materiału cennego, się po pióro — udaje mu się odzyskać („Dzieciom głosem”) dużą kondensację treści w bardzo niewiele słów zamkniętej; kiedy indziej („Nastrój majowy”) pokazuje dobitny kompozycyjny rytm, zgrabne rozwinięcie myśli. Nawet ulubiony „chwyt” retoryczny Gaworskiego oszczędna i zwykle ostrożna metafora (tym większy żal za dwuwiersz z „Radości powszechnych”: „Jak asfalt dróg słonecznych prostych (biegna two myśli i nadzieje) — podkreślenie może — „K P”) wszystko to czyni tę bardzo nie śmiałą poezję, jak zwykle się mówi, obiecującą.

Cofam się przed oceną sumaryczną. Nie zamierzam udzielać poecie „dobrych rad”, najwyżej jedna: niech uniknie niesmacznych żartów, takich jak wiersz „Lojalność małżeńską”. Poprzestaje na podzieleniu się swoimi, z lektury tomiku wniesionymi wrażeniami. Sygnalizuje wreszcie pierwsze książki, dosyć zróżnicowane treściowo i formalnie wystąpienie poety najmłodszego pokolenia.

K. P.

Lucia BOSE

LIST Z RZYMU

BILANS WIELKIEJ KATASTROFY

KIEDY, wśród mżącego deszczu, dojeżdżaliśmy do Mediolanu, głosniki dworcowe podawały właśnie oświadczenie włoskiego wiceministra Spraw Zagranicznych, który wracał z inspekcji okolic dotkniętych klęską powodzi.

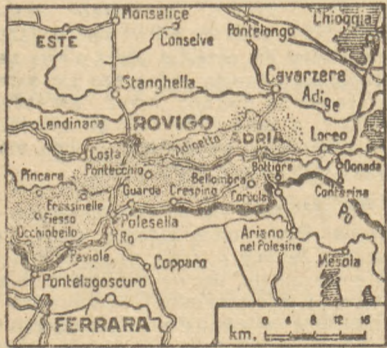
„Rozmiary katastrofy są olbrzymie — mówił wiceminister Brusasca — i nikt nie jest dziś w stanie przewidzieć jej skutków. W niektórych miejscowościach wody zaczynają opadać, ale obszary te są wciąż jeszcze zagrożone i nie możemy dopuścić do powrotu ludności. Rząd dokłada wszelkich starań, by uchodzić com zapewnić należytą pomoc i opiekę“.

Siedzący obok mnie mediolański urzędnik powtarza z ironią: „Rząd dokłada wszelkich starań... Niech pani pójdzie tylko zobaczyć tych alluvionati (powodźni) choćby u nas, na dworcu...“

TARGOWISKO NĘDZY

„Soccorso agli alluvionati“ — „Distribuzione pasti e vestiti“ — „Rozdawnictwo jedzenia i odzieży“, krzyca czarne litery napisów w bładym świetle mglistego poranka. Strzałki podają kierunek. Na trzecim peronie, pod zegarem, długie schody prowadzą do podziemnych sal. W normalnym czasie były to prawdopodobnie składy żelastwa i rupieci a podczas wojny, zapewne schrony. Teraz czuć tu wilgoć i naftalinę. I teraz, tu właśnie, Czerwony Krzyż i kilka innych organizacji filantropijnych rozdaje odzież uchodźcom z Occhiobello, Mantui, Rovigo, tym wszystkim, którym cały dobytek pochłonęły błotniste fale Padu i Adygi.

Cisza. W niepewnym świetle żarówek kilkanaście kobiet w czarnych szalach bobruje wśród stosów butów, spódnic, kołder. Lecą na ziemię stare ciuchy, podarte fatalaszki, dziurawe swetry, wykoślawione trzewiki, zanim brudna, spracowana ręka natrafi na coś odpowiedniego i odłoży pieczołowicie na bok. Bo te sterty odzieży nawiezione tutaj ze składów miejskich i prowincjonalnych, to po większej części dziedzictwo niemieckich obozów z północnych Włoch, ubranka z dawnych sierocińców, trochę starych mundurów a nawet i resztki amerykańskich darów z okresu po pierwszej wojnie



Obszar zakropkowany to okolice, które najbardziej ucierpiały od powodzi. Straty tego obszaru oblicza się na 46 miliardów lirów.

światowej... Zaprawdę, miłosierdzie nadużywa tu swych praw obrażając tych wszystkich biedaków, którzy z taką ufnością wędrowali z początku do tej ciemnej sali pełnej zapachu naftaliny i wolontariuszy Czerwonego Krzyża...

Cóż o tym myśli ta elegancka pani, która z miną pełną boleści, co pewien czas, połyka tabletkę aspiryny? To honorowa delegatka jakiegoś tam komitetu pomocy. Obok niej paru studentów z opaskami na rękawach notuje nazwiska potrzebujących. Jest coś głęboko niewspółmiernego pomiędzy tym światem ludzi normalnych, którzy częścią swego czasu poświęcają bliźnim, a tymi postaciami, które w ciągu paru straszliwych nocy i kilku mglistych

dni straciły wszystko, wszystko oprócz własnego życia...

Ale oto zjawia się sam prezes Czerwonego Krzyża Prowincji Lombardzkiej, doktor Pizzoni. — „Niech się pani za bardzo nie przejmuję tym widokiem — mówię do mnie. — Wygląda to groźniej niż jest w rzeczywistości. Ci ludzie, poza dachem nad głową, nie stracili właściwie nic — bo nie posiadali. Nie ma pani pojęcia w jakim średniowiecznym prymitywie żyli ci wszyscy wieśniacy z okolic dotkniętych powodzią“.

Cóż, kiedy trudno „nie przejmować się“, gdy widzę, jak czarno odziana staruszka już od pół godziny szuka drugiego bucika dla swego wnuczka. Bucika do pary.

Poza tym dźwię się. Więc jakże? Dolina Padu, równina lombardzka — najżyźniejsze okolice Włoch...

Ale doktor Pizzoni, prezes Lombardzkiego Czerwonego Krzyża na pewno wie lepiej. Więc bez słowa pozwalam się poprowadzić do poczekalni trzeciej klasy.

POMOC OFICJALNA I POMOC BRATERSKA

Na ławkach, na stołach siedzą rzedami brudne, zaniedbane postacie. Twarze szare, oczy jakby nieobecne. Niektórzy kończą talerz zupy, którą noszą dziewczyny ze służby kolejowej. Uchodźcy dostają też po kawalku sera, po szklance wina, czasem mandarynek albo jabłko. W kącie dwie skrzynki Coca-Cola, pierwszy dar Ameryki.

I, jak zawsze, po zaspokojeniu głodu, kiedy przyjemne ciepło rozlewa się po całym ciele, niektórzy uśmiechają się, jakby mówili: „Jakoś, dzięki Bogu, udało się nam. Ale, co dalej? Co z rodziną? Czy sąsiedzi się uratowali?“

Niewiadomo. Od dwóch tygodni czyni niki oficjalne nie szcedzą wyśleków, by ograniczyć rozmiary katastrofy. Ekipy saperów wysadzają tamę na południo-

wym brzegu Padu, by wreszcie skierować olbrzymie masy wody ku morzu. Zmobilizowano sześć kompanii wojska i wszystkie straże pożarne z Lombardii. Z pomocą pośpieszyły organizacje związków zawodowych, Liga Kobiet, Papieska Misja Pomocy, Komitety Akcji Katolickiej.

Już w dniach 17 i 18 listopada do okolic objętych powodzią na apel lewicowych stronnictw i związków zawodowych zaczęły ścigać tysiączne rzesze ochotników z całych Włoch. Studenci, robotnicy, doktorzy, pielęgniarki, sportowcy nie tracili cza-



Rozpacz maluje się na twarzach nieszczęsnych ofiar powodzi

su, by się zgłaszać do urzędowych punktów pomocy. Przyjeżdżali samorzutnie na rowerach, na ciężarówkach, śladali na lodzie i ratowali odciętą ludność. To oni uratowali trzysta osób z opuszczonego pociągu koło Loreo. To oni zdjęli z drzewa całą rodzinę Golognesi z Occhiobello po trzydziestu sześciu godzinach wołania o pomoc.

I wstyd powiedzieć, ale w wielu miejscach t.z.w. czynnik oficjalne hamowały ich działalność, sprzeciwiali się samorzutnej akcji, czekając na oficjalne i rządowe okólniki. W Adria miejscowy burmistrz odmówił przyje-

cia pomocy komitetu Włoskiej Partii Komunistycznej z Cavarzere.

„TU SIĘ ZACZEŁO...“

Z Ferrary pociągi kursują tylko do Pontelagoscuro. Za Padem, ogromnym, wezbranym, brudnożółtym, leży jak okiem sięgnąć zalana równina, z której gdzieś sterczą wieże kościołów i czubki drzew. Tu było niegdyś Occhiobello.

„Tu się właśnie zaczęło — opowiada mi naoczny świadek Antonio Cataldi. — Już we wtorek 13 listopada, słyszeliśmy głuche odgłosy jakby burzy.

drzewie: Marta i Pietro. Było im zimno a że na drzewo schronił się mały kotek, więc go sobie podawały, by się ogrzewać. Wreszcie strażak z Ferrary przepłynął rzeką w pław i uratował oboje“.

TRAGICZNY BILANS

Prawie dwa tysiące kilometrów kwadratowych pod wodą, ćwierć miliona uchodźców, paraset ludzi utopionych, szkody obliczane na 46 miliardów — oto prowizoryczny bilans strat straszliwej żywiołowej katastrofy. Trudno oprzeć się myśli — i cała postępową prasę włoską to dobitnie już podkreśliła — że wystarczyłaby częśćka sum przeznaczonych na zbrojenia, by naprawić nadwątłone tamy, zbudować silniejsze i lepiej uregulować bieg rzek. Od lat Włoska Konfederacja Pracy dobija się bezskutecznie o wprowadzenie w życie opracowanych drobiazgowo planów stworzenia w okolicach górskich specjalnych zbiorników, które służyć mają do odprowadzenia nadmiaru wód w czasach powodzi.

Kiedy wracałam do Ferrary, spotkałam nad Padem całą grupę wieśniaków wypatrujących czegoś na zakręcie rzeki.

— No co oni czekają? — spytałam burmistrza Occhiobello.

— Tu zwykle rzeka wyrzuca ciała utopionych, więc myślą, że może wyrzuci zwłoki tych, którzy zginęli w nocy, kiedy rzeka przerwała tamę — odpowiedział burmistrz, którego siostra straciła dwoje dzieci w katastrofie.

Ponad zalaną, szarą równinę unosiły się jeno czubki drzew i ogromne, do połowy zalane, tablice reklamowe: „Puder Paglieri podkreśla urodę“ — „Używajcie tylko opon Pirelli“. „Najlepsze smary tylko Shell“. Reklamy były niebieskie, żółte, czerwone. Tylko ludzie stojący na zakręcie rzeki tworzyli czarną, grubą plamę. Lucia Bose

Tadeusz HAL

Sprawa bolesna, lecz nie beznadziejna

KAPITALNY problem poruszył Z. L. w artykule „Sprawa bolesna“ („Dziś i Jutro“ nr 40). Jest nim aktualny poziom „poezji“ kwitnącej na łamach katolickiej prasy prowincjonalnej. Poziom ten — istotnie kompromitujący — wlinien zmusić wszystkich zainteresowanych — a jest ich wielu — do zwalczania wreszcie złego nawyku milczenia wobec spraw obchodzących nas bezpośrednio. Tymczasem, jakoś dotychczas... Artykuł ten pomyślany jest jako pierwszy, co prawda mocno spóźniony, głos prowokujący do dyskusji. „Kłóćmy się, dyskutujmy, ale nie pozostawiamy sprawy jej własnemu biegowi“ pisze Z. L. dobitnie i mocno. Ma rację.

Fragmety wierszy cytowanych przez Z. L. nie są czymś wyjątkowym: to po prostu typowe okazy wierszowanych kulfonów, które szczerzą zęby z każdego niemal numeru pisma tzw. małej prasy katolickiej. Aż dziw bierze, skąd ci poeci, a zwłaszcza poetki znajdują czas na wpychanie gwałtem swych niezbyt skomplikowanych odczuć w formy prymitywnych wierszy!

Z. L. ujął problem od strony krytyki: zaalarmował. „objechał“, skrzyczał. „Może redaktorzy w porę wycofają się z niewłaściwych pozycji ludzi tolerujących zmirę i tandetę dewocyjną w najgorszym tego słowa znaczeniu“. Sens tego zdania sugeruje pogląd, jakoby winę za przykry, niewątpliwie, stan rzeczy ponosili wyłącznie wspomniani redaktorzy. Innymi słowy: Przestańcie drukować wierszyki,

które z poezją nie wspólnego nie mają.

Otóż sprawa nie przedstawia się bynajmniej tak prosto. Rzecz jasna: do kardynalnych obowiązków redaktorskich należy sumienna selekcja materiału kwalifikowanego do druku, ale selekcja ta nie może iść za daleko, aż do rugowania ze szpał wszelkich w ogóle śladów mowy związanej. A tak właśnie musieliby zechcieli czekać na dopływ poezji prawdziwej, zdrowej, bezpretensjonalnej i — co najważniejsze — przystosowanej do poziomu intelektualnego czytelników. Bo poezji tej jest kompromitująco mało, gorzej — nie ma jej niemal zupełnie!

Trudno mi powiedzieć, czy redaktorzy, o których mowa, posiadają ogólną chociażby znajomość poezji i związanych z nią zagadnień (wszelkie ryczałtowe sądy byłyby tu nie na miejscu), nie przypuszczam jednak, aby mając do wyboru plewy i zdrowe ziarno uporczywie częstowali swoich czytelników tym pierwszym. Nie wiem również, czy sumienność ich w wyborze materiału dorównywała w pełni ciężarowi gatunkowemu funkcji, jaką prasa katolicka winna spełniać. Wiem natomiast, że materiał ten w olbrzymiej większości stoi na poziomie wierszy cytowanych przez Z. L. (miałem możliwość przeglądania kilku tek redaktorskich).

Powstaje pytanie: drukować rymowane grymoły, czy nie. Jestem

przekonany, że odpowiedź będzie spontanicznie jednomyślna, precz z tandetą itd. Ale czy tego typu jednomyślność rozwiąże zagadnienie? Bo zagadnienie nie należy do gatunku łatwych. Pomyślmy: prowincjonalne pisma drukuje się z reguły petitem (borgisu używa się rzadko). Czym zapieścić kolumnę ciasno załoczoną drukami? Czym załatać lukę, gdy zestaw okazuje się za krótki? Dodajmy do tego jeszcze, że czytelnicy lubią wiersze, że domagają się wierszy, że zasympują wprost redakcje wierszami („poezja“ jest bardzo nagminną chorobą), a zarzut obniżenia kryteriów oceny zaadresowany do redaktorów straci na ostrości.

Mała prasa katolicka cierpi na chroniczny brak poezji, nie tej poezji przez duże P, ale tej przez średnie. Przypuśćmy bowiem, że redaktor pisma X zechce drukować dobre wiersze i sięgnie do Chrzanowskiego lub Rostworowskiego. Nawet najbardziej zagorzały optymistą przyzna, że krok taki musi się skończyć nieuchronnym flaksem. Czytelnik po prostu tych wierszy nie zrozumie. Nie zapominał bowiem, że jest to czytelnik „estetycznie mało uświadomiony“. Sprawa wydaje się na pozór beznadziejna. Wyjście jednak musi się znaleźć. Widzę je w realizowaniu zasady upowszechniania poezji. Chciałbym się z góry zastrzec przed ewentualnością niewłaściwej interpretacji ostatniego terminu. Utwór literacki o wysokich walorach artystycznych upowszechnić

się nie da w sensie — dajmy na to — uproszczenia jego konstrukcji, metaforyki itp. Postulat takiego upowszechniania byłby absurdalny ze względu na specyfikę dzieła poezji czy prozy, którego nie można zubożyć o elementy formy bez naruszenia strony merytorycznej, treściowej. To są sprawy jasne i bezsporne, nie wymagające komentarzy. Wytyczną naszego „upowszechniania“ nie będzie więc zasada przystosowywania dobrej poezji do poziomu intelektualnego czytelników prasy prowincjonalnej, lecz zasada: „przez publikację utworów prostych, zrozumiałych nie pozbawionych jednak atrybutów pierwszorzędnej jakości przygotowywać rozumienie poezji! właściwej“.

Każdy chyba zdaje sobie sprawę, że najlepszy nawet poeta równoległe z poezją, w którą wkłada całą zasób swych ideowych i artystycznych możliwości, ćwiczy również „palcówkę“ poetycką, pisze wiersze o nieskomplikowanej metaforyce, wiersze, niekoniecznie białe, ale dzięki prostocie wyrazu predystynowane niejako do budzenia najszerszego rezonansu czytelniczego. Myślę, że zasłanie takimi wierszami katolickiej prasy prowincjonalnej rozwiązałoby chociaż częściowo omawiany problem. Korzyść byłaby potrójna: czytelnicy zyskaliby znośną strawę poetycką, poeci nowych czytelników, a redaktorzy, którym tak dopiekł Z. L. — przestaliby być podążani o obniżenie kryteriów oceny.

Tadeusz Hal

Michał STRASZEWSKI

Jeszcze o Zakopanem

POLEMIKA, w której na łamach „Dziś i Jutro” i „Tygodnika Powszechnego” starli się ze sobą Franciszek Witowski i „Wuj”, była tego rodzaju, że mogła niejednemu zachęcić do zabrania w niej głosu. Uczynił to już w bardzo rzeczowym artykule Tadeusz Wierzbicki. Ale sprawy, które polemika poruszyła, posiadają, mówiąc modnie, tyle aspektów, że niejedno jeszcze do tych głosów dorzucić by się mogło. Nie o to jednak chodzi, by przedurzać polemikę w nieskończoność. Chodzi o to, czy dotychczasowa polemika wskazała jakieś środki, by pogodzić ze sobą dwa zasadnicze, a nie zawsze łatwe do zharmonizowania postulaty: postulat udostępnienia jak najszerszym pracowniczym masom turystyki i postulat ochrony przyrody tatrzańskiej. O obu postulatach można powiedzieć, że mają znaczenie ogólnonarodowe. Wierzbicki widzi wyjście w suttelnie pomyślanej selekcji turystycznej, tym zalecenia godnej, że dostępnej dla wszystkich. Proponowane są i inne środki. Zdaje mi się natomiast, że brak jest w dotychczasowych wypowiedziach jednej rzeczy. Przynajmniej w dostatecznej mierze. Brak jest postawienia całego zagadnienia na tej płaszczyźnie, na której każde zagadnienie obecnie stawać należy. Na płaszczyźnie wielkich przemian społecznych, których widowisk — w związku z planem sześciolatnim — jest obecnie Polska.

Plan sześciolatni szerząc oświatę i uprzemysławiając kraj, powiększa w ogromnie szybkim tempie szeregi tych, którzy do korzystania z wczasów i turystyki mają prawo i którzy z tego prawa chcą korzystać. Szeregi uczące się młodzieży i masy pracownicze. Są to w stosunku rocznym ilości idące w setki tysięcy, a wkrótce będą miliony. Na szczęście Polska posiada oprócz Tatr jeszcze inne tereny mogące wchłonąć w siebie te rosnące z roku na rok zastępy. Pięćset kilometrów wybrzeża morskie, długi łańcuch Karpat od źródła Wisły do źródła Sanu, góry śląskie, a wewnątrz kraju pas pojezierza i rejon świętokrzyski. Są i inne tereny tu niewymienio-

ne. Różne przyczyny złożyły się jednak na to, że żaden rejon nie ma tej atrakcyjnej siły, co rejon podtatrzanski z Zakopanem na czele. Wysokogórski charakter Tatr, jedynych w Polsce, jest może najistotniejszym składnikiem tej, jak magnes działającej siły, ale nie jest składnikiem wyłącznym. Przy wszystkich swoich brakach magnesem jest i Zakopane. Dziwna miejscowość, na którą wszyscy trochę narzekają, ale do której wszyscy tak chętnie wracają. Zakopane ma swoją legendę i swój mit, swoje miejsce w uczuciach ludzi. Jest ośrodkiem swoistej kultury. Legenda Zakopanego rozszerzona jest po całej Polsce i dla wielu Tatr to przede wszystkim Zakopane. Przeciwnie licznym przyjeźdźcą Tatr ograniczają do wjazdu na Kasprowe Wierch i na Gubałówkę, do wycieczki autobusem do Morskiego Oka i drudgej do Kościeliskiej Doliny. A resztę zostawiają właściwym miłośnikom Tatr.

Pomoc Zakopanemu i Tatrom to znaczy oddać je. A to można osiągnąć tylko przez energiczny i forsowny rozwój innych turystycznych ośrodków, tak, aby mogły skutecznie współzawodniczyć z Zakopanem. A więc rozwijać ośrodki na Ziemiach Zachodnich, a także wzdłuż Karpat, Wisłę, Zawoję, Gorce, Pieniny, Nowosądecką i inne. Rozwijając pod względem dogodności wszelkiego rodzaju i pod względem kulturalnym. Niezdrowa wyłączność Zakopanego, szkodliwa dla niego samego i dla Tatr, zredukuj się wtedy do właściwej miary.

Oczywiście, przy takim rozwianiu innych ośrodków w różnym wypadku nie należy zapominać o potrzebach Podhala i Zakopanego. A te są bardzo duże i bardzo istotne i pilne. W Zakopanem powinno ruszyć wreszcie z martwego punktu budownictwo i na cele mieszkaniowe i turystyczne i na cele społeczno-kulturalne.

Warunki komunikacyjne Zakopanego z Krakowem nie są dylematem, a rozwój turystyki i ochrona przyrody najważniejszym zagadnieniem. Dylemat istnieje niezależnie od tego czy się będzie jechało koleją z Krakowa sześć

godzin czy trzy. Jego rozwiązanie leży na całkiem innej płaszczyźnie. Natomiast jest rzeczą niezaprzeczoną, że komunikacja kolejowa między Krakowem a Zakopanem jest anachronizmem i nie przynosi nikomu zaszczytu. Dosadnie opisał ją Franciszek Witowski. Radykalna poprawa możliwa jest tylko przez wybudowanie nowej linii przez Myślenice. Sprawa ta jest już od dawna dojrzała i nie tu nie pomoże, czy krzywić się na nią będą niektórzy ludzie. Jest to sprawa przesądzona, a jej wykonanie jest tylko kwestią czasu, zależnie od tego, kiedy uporamy się z pilniejszymi zadaniami, których nam nie brak. Na tę linię należy patrzeć nie tylko z punktu widzenia komunikacji z Zakopanem, ale także z punktu widzenia tranzytu między Polską i Czechosłowacją przez Nowy Targ — Suchą Horę. Taka tranzytowa linia będzie z pewnością w przyszłości potrzebna, zwłaszcza jeżeli uprzytomnimy sobie, jak bardzo niedoskonałe i technicznie zafowane są połączenia kolejowe przez łańcuch Karpat. Jest to smutny spadek po rządach zaborczych, albowiem Austro-Węgrom w których władaniu był cały prawie łańcuch Karpat, zależało na skierowaniu możliwie całego ruchu na Wiedeń i Budapeszt. Tym celem służyła pierwszorzędnie wyposażona linia przez Boguminię i przełęcz Jabłonkowską, a inne linie przez Karpaty miały już raczej strategiczne znaczenie. Dzisiaj i te zaniedbania musimy odrobić i oto okazać się może, że to nieścisłnie przez „Wujka” tramwajem nazwane połączenie, stanie się odciążeniem bardzo ważnej magistrali kolejowej łączącej zachodnią Polskę nie tylko z zachodnią Słowacją i Bratysławą, ale i z Budapesztem i z Bałkanami.

Są to, być może, perspektywy przyszłości, z którymi jednak liczyć się trzeba. W każdym razie świadcza one, że Zakopane od świata izolować się nie da. Tak samo jak nie można zaprzętać ekonomicznego i kulturalnego podnoszenia Podhala. Błędem na nie się nie zda. Wszyscy, którym przewrót tatrzański leży na sercu, a są nimi właściwie wszyscy Polacy, powinni zdawać sobie z tego sprawę i przystępując do wypracowania programu ochrony przyrody, to uwzględnić.

Nie będąc fachowcem nie śmiał bym w tej kwestii wsuwać jakichkolwiek sugestii, ale może wolno mi będzie wyrazić pogląd, że zagadnienie ochrony Tatr jest w znacznej mierze zagadnieniem pedagogicznym. Należytego wychowania szerokich mas turystów, przygotowania ich do godnego obcowania z przyrodą gór. Zadanie wdzięczne i piękne. Nie można od mieszkańca miast, który nigdy w górach nie przebywał, żądać, aby sam ze siebie wiedział, jak się wobec powągi gór zachować należy. Wyobrażam sobie, że powinna być wydana broszura, która zwieźle i jasno podawałaby reguły zachowania się w górach i wyłączała potrzeby leki przestrzegania. Broszurka, która by przyjeżdżającym darmo była rozdawana. We wszystkich domach wczasowych, we wszystkich hotelach i pensjonatach reguły te powinny być w widocznych miejscach. A może nie byłoby obraźliwym, gdyby od wszystkich turystów i wczasowiczów, od starszych i od młodzieży, wymagano stwierdzenia podpisem, że ten kodeks reguł jest im znany i że zobowiązują się do jego przestrzegania. Skuteczne byłoby także żywe słowo, podane tak, aby przemawiało do obywatelskiego poczucia. Byłaby to akcja związana z terenem Zakopanego i Podhala, ale obejmująca zasięgiem swym całą Polskę, albowiem zagadnienie ochrony przyrody tatrzańskiej jest zagadnieniem narodowym, ogólnopolskim.

Oto kilka uwag, które nasunęły mi się przy czytaniu tak ciekawych i tak na czasie będących wypowiedzi. Bez względu na dzielące je różnice — w gruncie rzeczy niezbyt rozbieżne — są one wszystkie wprawdzie umiłowaniem Tatr i ich przyrody. I dlatego sądzę, że nie trudno byłoby zaprzeczyć wszystkim ich autorów do zgodnej pracy w dwóch wielkich zadaniach, udostępnienia i podniesienia Podhala, a równocześnie ocałowania przyrody Tatr.

Janusz Andrusikiewicz

WIECZORY POD LIPĄ

O tak zwanej literaturze lekkiej

ZACZNĘ tym razem od fragmentu własnej autobiografii. Nie przez puchę, nie przez egocentryzm, nie przez subiektywizm, nie w celach autoreklamny, nie gwoli interesowania czytelników swoją osobą. Po prostu ze względu na charakterystyczność epizodu, który zamierzam odpowiedzieć.

Jak prawdopodobnie wszyscy ludzie w podeszłym wieku, byłem i ja kiedyś młody, nawet tak młody, że mogłem uczęszczać do gimnazjum. W owych to właśnie latach zdarzyło mi się coś przeżyć, co zadmiło pogodę mojej beztroskiej młodości i — jak mówią poeci — „wyryło ślad” i to trwały ślad na mojej duszy.

Zdarzyło się mianowicie kiedyś, że siedziałem w parku i czytałem książkę. Przy lekturze tej zastała mnie jedna z moich koleżanek szkolnych. Postrzegła na książkę, popatrzyła na mnie i pyta:

— Co czytasz?
— „Hamleta” — mówię z pewną łumą.

— To wy to teraz przerabiacie?
— Nieee — odpowiadam nieco zdenerwowany.

— No to po co ty to czytasz?
Zapomniałem, jak to brzydko mówią, czyka w głębie. Nie potrafiłem w żaden sposób wytłumaczyć się z lektury „Hamleta”. Wybąkałem jakieś niepewne, że to „jak sobie”. I na tym się skończyło. Przeczytałem to jednak pozostało w mej pamięci jako trwały uraz. Dlaczego pewnego rodzaju ludziom człowiek czytający Szekspira, św. Augustyna, Platona wydaje się dziwakiem. Nieraz zadawałem sobie to pytanie.

Odpowiedź na nie znalazłem w anegdotce, która usłyszałem w parę lat później. Pewien jegomość pokazując przyjacielowi swoją bibliotekę objaśnia: „Tu, na górze, leżą dzieła filozoficzne, tutaj — przyrodznawstwo, fizyka, chemia, tu — geografia i etnografia, na tej półce — historia, na tej — ekonomia i socjologia, tutaj masz historię literatury, tu — klasycy, tutaj — poezje, a na tych półkach na dole — książki do czytania”.

Otóż to: książka do czytania. Nie dzieło filozoficzne czy naukowe, nie toni wierszy czy dramatu, nie zbiór esejów czy poważniejsza powieść, ale „książka do czytania”, a więc sensacyjna lub sentementalna bajka o w najlepszym razie jakaś jednozonowa „reklamka”, jakieś „Przemiętło z wiatrem”.

Po każdej wypożyczalni książek w Polsce grasuje stado wytwornych panów pszczykających z energią i zapałem „czegoś lekkiego”. „Coś lekkiego” — a więc nie Conrad ani Tomasz Mann, nie Mauriac ani Dreiser, nie Zełmski ani Szolchowi; „coś lekkiego” — a więc Miszkołówna, Zarzycka, Courts-Mahler, Dell. Czasem — ze snobizmu — zamiast tych autorek ktoś, kto świeżo otrzymał nagrodę Nobla albo umarł, miał głośny proces rozwodowy lub odbył w balii podróż przez Ocean Atlantycki, słowem ktoś, „o kim się mówi” o kim piszą gazety i pisma literackie.

Najważniejsze zaś jest to, że owe paniusie są reprezentantkami ogólnego poziomu życia umysłowego i kulturalnego naszej inteligencji. Kto z ludzi tzw. poważnych, z adwokatów, inżynierów, lekarzy orientuje się w bieżącym życiu literackim i artystycznym? Przecież oni nie mają czasu na „glupstwa”!

Mówi się o powrotnym analfabetyzmie. Istnieje jednak i powrotny półanalfabetyzm: cołnicie się na poziom najbardziej prymitywnego wykształcenia ogólnego przy równoczesnym zażęgnięciu w możliwość niaścianiej pojmovanej „fachowości”. Jest to właśnie za raz niszcząca polską inteligencję, czyniaca z niej żywiol najzupełniej akulturalny.

Ktoś, kto raz tam kiedyś dostał maturę, uważa się za „dojrzałego umysłowo” raz na zawsze i na myśl mu nawet nie przuidzie, że trzeba się interesować jeszcze czymś więcej niż własnym podwórkiem, że ciasta, jednostronna „fachowość” przemienia go w lichego wyrobniaka nawet na terenie własnej jego specjalności. Tymczasem jeżeli paniuska, o której wspominałem na początku niniejszego felietonu, jest już dzisiaj na przykład dentystka, to na pewno nie czuła ani Szekspira, ani Goethego, ani Mickiewicza, bo cóż mogłoby jej oni powiedzieć na temat rzewania czy plombowania zębów? Dla ludzi tego pokroju czytanie książek jest tylko i jedynie rozrywka, istnieje dla nich wyłącznie literatura „lekką”.

Ale stale karmienie się literaturą „lekką”, która nie wiecia nas w krag żadnej problematyki serio, która posłowie się zbanalizowanymi szablonaami artystycznymi i mniłowymi, wniaławia intelekt i zuhoza życie duchowe, konwencjonalizuje uczuciowość.

Jest to na drugi szereg etapów rozłożone samobójstwo umysłu i uczucia, jest to konsekwentne pogrążenie się w

natóg duchowego lenistwa, oddalanie się coraz bardziej bezpowrotnie od źródeł energii i radości ku jałowej pustyni nudy i zubożnienia.

Mówi się o książce jako o przyjacielu człowieka. Trzeba jednak pamiętać o tym, że książka może być też jego wrogiem. W medycynie ten sam środek, zależnie od sposobu przyrzadzania i dawekowania, staje się lekarstwem albo trucizną. Książka, w której szuka się tylko rozrywki lub podniecia emocjonalnej, staje się tak samo zabójczym narkotykiem jak opium czy morfina. A przecież może być ona także szkołą samodzielności życia duchowego, może krzepić nasz umysł i dawoć duszy wieczną młodość niezaspokojonej ciekawości i radosnego entuzjazmu.

Nie podejrzewajcie mnie z powodu tego, co powiedziałem, o jakiś ponury, tępy purytyzm. Najzupełniej uznaję potrzebę literatury rozrywkowej, cenię dobre powieści sensoryjne i sam je chętnie czytam. Nie chodzi mi o zwalczanie całej w czambuł literatury rozrywkowej, ale o sposób jej czytania, o ten „dobór naturalny” zwrócony w kierunku tandety i lutowiny.

Opanietajacie się, ludzie! Przecież wiadomo, że „kto z kim przestaje, takim się staje”, ponieważ „skoroś wlaź między wrony, musisz krakać jak i one”, a „czym skorupka za młodu nasiąknie...” itd. Każdemu z nas rzadziły babcię i ciocie wstrząsnąć się z tego towarzystwa. I słusznie! Nawet wtedy, kiedy chodzi o towarzystwo niby to bardzo dobre, bo wysoko utytułowane (ordynat Michorowski) i arcywytwarne (jak np. ci arystokraci z kapitalnej powieści Magdaleny Samozwaniec „Na ustach grzechu”, u których w salonie raduje oczy swym widokiem „fortepian z lapis-lazuli”, na progu zaś salonu lokaj „w bogato szmerowanej liberii” (jakżeby inaczej!) obwiszacz „Podano samochód”).

Bogumił Koleś

List do redakcji

W związku ze sprawozdaniem kol. Proroka, zamieszczonym w numerze 48(314) Waszego poczytnego pisma pozwalam sobie przesłać następujące uwagi:

Najpracowitszy z naszej sekcji prozy — kol. Prorok prowadzi pilnie protokoly Sekcji, posiłkując się jednak przy tym zwykłe dla sprawdzania dostarczonemu mu tekstem referenta. Tekstu tego nie dostarczyłam po mojej ostatniej pogadance, na skutek czego wynikły drobne nieporozumienia, które niniejszym pragnę sprostować i które zresztą w protokole zebrania już zostały skorygowane.

I. Nie korzystałam z żadnego „filozoficznego przekładu” na niemiecki powieści „Abel w puszczy” Arona Tamara, dzieło to natomiast tłumaczyłam wprost z węgierskiego, co zajęło mi nawiasem mówiąc trzy lata.

2. O rezerwie inteligentów węgierskich wobec uchodźców polskich może być mowa tylko w małych miasteczkach, gdzie był bardzo silny wywiad niemiecki, i to dopiero po 1941 roku, kiedy Węgry weszły do wojny obok Niemców.

3. Węgierka, której gustem kierowałam się, wobec braku innej porady, przy wyborze tekstów do tłumaczenia, nie była robotnicą, tylko córką skromniutekiej krawcowej, maszynistką w biurze.

4. Przekłady moje z węgierskiego — Ady, Aprily i Tamas; nie zostały wydawane przez „budapesztańską firmę wydawniczą”, ale przez tzw. „Bibliotekę Polską” w Budapeszcie, pelne poświęcenia grono osób, które powięlały różne teksty polskie w ilości 100 — 150 egz. chcąc dostarczyć w ten sposób materiał do czytania obozom naszym internowanych. Były to zeszytki, zaopatrzone nawet w portrety autorów, o świetnym „druku” i korekcie nadzwyczaj starannej. Są dziś, oczywiście, rzadkością bibliograficzną.

Byłabym wdzięczna za zamieszczenie niniejszego, mimo że zdaje sobie sprawę, że to miało kogo może interesować.

P. S.

„Don Karlos” był grany w Teatrze Narodowym w roku 1932 w obsadzie król Filip — Sołski, Don Karlos — Osterwa, Markiz Poza — Węgrzyn. Sztuka szła przez 3 miesiące z obrzydliwym powodzeniem kasowym.

„Egmont”, obsławiany na 1950 przez Teatr Polski, dotąd nie grany, jest w druku w „Ossolineum” i wydanie w serii „Biblioteka Narodowa”.

Z poważaniem

Kazimiera Illakowiczówna

Janusz ANDRUSIKIEWICZ

Znowu o linii kolejowej Kraków — Zakopane

ZAGADNIENIE „zblżenia” Krakowa do Zakopanego nie jest zagadnieniem nowym. Rozważane było kilkakrotnie w międzywojennym 20-leciu, ale dopiero w r. 1938 wysunięto koncepcję budowy nowej linii kolejowej krótszej od istniejącej i zelektryfikowanej. — Odległość Krakowa od Zakopanego wynosi w linii powietrznej 74 km, długość obecnej linii kolejowej Kraków-Zakopane — 144,8 km. W tej sytuacji zagadnieniem pierwszorzędnej wagi staje się ścięcie łuku, jaki omawiana trasa zakreśla na przestrzeni Kraków-Chabówka. Rozwiązanie uzyskać można przez poprowadzenie nowej trasy od Krakowa do doliny Raby w Myślenicach, a stąd do Mszany Dolnej; w ten sposób uzyska się skróty trasy Kraków-Zakopane o 32 km.

Elektryfikacja linii Kraków-Zakopane będzie, obok stworzenia wspomnianego połączenia, drugim radykalnym pociągciem, które spowoduje całkowitą sanację obecnego stanu. Dziś na linii tej nie można porwać szybkości pociągów, gdyż na przeskądzie temu stoją wysokości i dla trakcji parowej b. niekorzystne wzniesienia i spadki, dochodzące na odcinku Sucha-Zakopane do 27° oraz małe promienie łuków, schodzące często do 200 m. Chcac uzyskać szybkość ponad 30 km/godz., należałoby zastosować ciężkie lokomotywy górskie, co na odcinku Sucha-Zakopane jest niemożliwe ze względu na zbyt słabą konstrukcję nawierzchni linii, która nie wytrzymałaby „rozpychania” przez lokomotywy huków o małych promieniach. P. K. P. nie mogąc używać ciężkich lokomotyw, zmuszone są posługiwać się składami wagonów o ciężarze nie przekraczającym 300 ton, co w sezonie powoduje przepienienie zbyt krótkich pociągów. Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest zastosowanie trakcji elektrycznej, bowiem

górskie lokomotywy elektryczne są — podobnie jak wagony — typu wózkowego, wskutek czego pokonują bez większego oporu nawet małe łuki. Trakcja elektryczna wykazuje nadto wiele innych zalet, dzięki którym na liniach kolejowych w terenie górskim można zmniejszyć czas jazdy nawet o ponad 50%, co z kolei dodatnio wpływa na przelotność linii; na linii Kraków-Zakopane osiągnie się bez trudu zwiększenie przelotności o 100%.

Nowa linia Kraków-Zakopane składałaby się z dwóch odcinków: nowego: Kraków-Mszana Dolna i starego: Mszana Dolna — (Chabówka) — Zakopane. Pierwszy odcinek nie posiadałby łuków o promieniu niżej 300 m, które poważnie hamują szybkość jazdy. Wraz z odpowiednią strukturą podtorza i nawierzchni linii dałoby to w efekcie możliwość rozwijania przez pociąg elektryczne maksymalnej szybkości do 110 km/godz. Średnia prędkość nie ustępowałaby prędkości trakcji parowej na pierwszorzędnych liniach nizinnych i wynosiłaby: dla pojedynczego wozu motorowego — ok. 75 km/godz., dla pociągu osobowego — ok. 57 km/godz. Niewiele mniejsza byłaby średnia prędkość na odcinku od Mszany Dolnej do Zakopanego. W sumie całkowity czas przejazdu z Krakowa do Zakopanego wynosiłby: dla wagonu motorowego — 95 minut, dla pociągu pospiesznego — 110 minut, dla pociągu osobowego — 150 minut.

Kiedy projekt połączenia Krakowa z Zakopanem koleją elektryczną zostanie zrealizowany — narazie nie wiadomo Miarodajne czynniki powinny jednakże dziś już liczyć się poważnie z tą koniecznością i w hierarchii potrzeb uwzględnić ją na przyszłość na jednym z pierwszych miejsc.

Janusz Andrusikiewicz

Zbyszko BEDNORZ

Z TEATRU KATOWICKIEGO

NOWE kierownictwo Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach (dyrektor Zdzisław Grywałd, kier. artyst. Roman Zawistowski, kier. lit. Andrzej Wydrzyński) wzięło się energicznie do pracy, skoro do tej pory zoba czyliśmy już 3 premiery, a w dniach najbliższych mamy ujrzeć dalsze dwie. Katowice i przemysłowe zaplecze stolicy województwa — teatru pragnie i to teatru dobrego. Śląsk posiadający od długich lat swój bogato rozwinięty ruch teatralny amatorski, na scenie zawodowej chce widzieć dobre sztuki, bo zna się trochę na teatrze. Tru-

Fredro wypowiedział Orgonowi „ze wzrastającą goryczą”. Ileż w tej wypowiedzi, rzuconej społeczeństwu przed mniej więcej 115 laty było z goryczy samego genialnego komediopisarza?

Czy Fredro świadomie obnażał epokę i klasę społeczną, w której tkwił, lub działało się to mimo woli, oto pytanie tak często stawiane do niedawna przez krytykę. Czy tylko chciał bawić, albo czy przez zabawę nauczać, chłostać, moralizować? Spory i dyskusje fredrowskie w tych kwestiach ideowo-treściowych odbijają się najwyraźniej w teatrze, w koncepcjach realizacyj-

śmiać i to jest właśnie tajemnica genialnego pisarza, że ten obraz życia, który winien budzić obrzydzenie, budzi śmiech, zwłaszcza, że poeta (choć co prawda sztucznie i konwenansowo) każe zwyciężyć ideałowi, to znaczy miłości. Katowickie przedstawienie „Dożywocia”, którym Śląsk oddaje hołd Fredrze w 75 rocznicę jego śmierci, stanowi niewątpliwie osiągnięcie teatru im Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach.

Reżyseria wydobyla z „Dożywocia” należity humor, chociaż miejscami ów humor, w dużej mierze sytuacyjny w „Dozywociu”, winien być chyba stosowany (te planowane przewracanie się ludzi i mebli). Inna rzecz, publiczność śmiała się najczęściej wtedy, kiedy ten gatunek humoru dochodził do głosu, ponieważ — po prostu wielu innych, świetnych spraw fredrowskiej komedii nie rozumiała. Tak. Już powiedzieliśmy poprzednio, że „Dozywocie” jest utworem bardzo wyraźnie usytuowanym w określonych warunkach czasowych i terenowych. Kto dziś na Śląsku, poza garstką ludzi, wyznaje się na tych wszystkich kombinacjach spadkowo-dożywociowych, tak aktualnych przed stu laty w sferach szlacheckich! Dlatego są ludzie, którzy się dziś na „Dozywociu” serdecznie nudzą. Kierownictwo teatru winno o tym pomyśleć, zwłaszcza, że ta sprawa „niezrozumiałości „Dozywocia” była już podnoszona nieraz w przeszłości np. w wypowiedziach Lorentowicza i Bory-Zelenieckiego.

Z trudnej, trzymającej całość przedstawienia, roli Łatki wywiązał się Gustaw Holoubek dobrze, stwarzając postać namiętnego lichwiarza i skąpca; Łatka w kreacji Holoubka lubi pieniądze i umie dia nich nisko się kłaniać, wie się u stóp, lasić się służalczo, zachowywać się bez godności, umie być bezwstydny w podłościach zażarty aż do szaleństwa (świetna scena przed zamkniętymi drzwiami Rózi z szarpającym się Orsonem — Wacławem Zastrzeżyńskim). Niestety, druga co do ważności rola w sztuce nie wypadła tak dobrze, i być może, że Leona Birbankiego zagrałby lepiej ktoś inny zamiast Romana Zawistowskiego; jego Birbanki był jakby za mało żywy, wyczuwało się nienaturalność w gestach, poruszeniach (Że m. in. wypadła scena opierania się o ramię Łatki z tendencją do upadku). Na pochwałę zasługują: Mieczysław Jasiecki za rolę Filipa oraz Roman Hierowski, któreo-

kle te plany wypełnić życiem i np. dla wygłoszenia jakiejś kwestii każał wchodzić Birbankiemu na schody przed balkonik itp., pod czas gdy Fredro kazał działać swoim postaciami w jednej izbie.

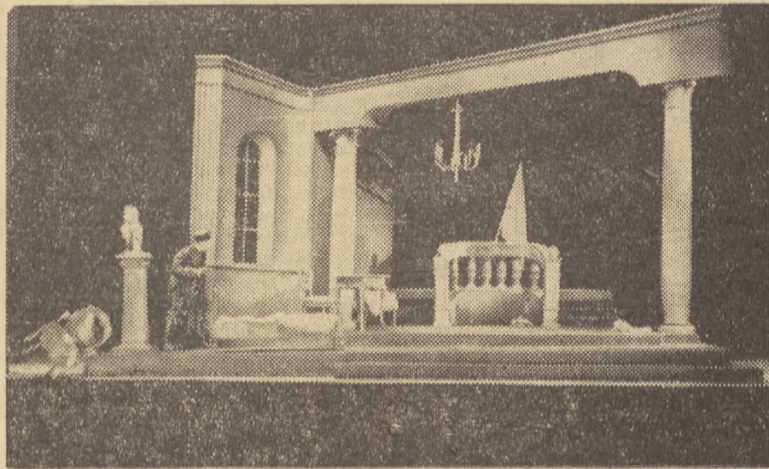
W końcu — „Dozywocie” Fredry przyjęte zostało przez Śląską publiczność teatralną z prawdziwym nieklamnym zadowoleniem. Nie może to dziwić, skoro nowe kierownictwo i cały zespół teatru katowickiego włożyły w przedstawienie wiele pracy i pieczołowitości.

BORYS GORBATOW „MŁODOŚĆ OJCÓW” — SZTUKA W 7 OBRAZACH, PRZEKL. MARIAN NIEWIAROWSKI. INSCENIZACJA I REŻYSERIA ROMAN ZAWISTOWSKI; PRAPREMIERA W POLSCE

Sztuką dramaturga radzieckiego Gorbatowa, której polska prapremiera odbyła się 7 listopada w Katowicach, wchodząc w program akademii urzędowej z okazji 34 rocznicy Rewolucji Październikowej — wypełnił Państwowy Teatr Śląski swoje zobowiązanie październikowe, podjęte 3 października br. Dzięki wysiłkowi reżysera, zespołu aktorskiego i personelu technicznego — („Młodości ojców” nie obejmował zaplanowany repertuar na rok 1951-52) — sztuka była gotowa do wystawienia na 3 dni przed terminem.

„Młodość ojców” Garbatowa ukazuje w scenicznym kształcie dzieje pewnej grupy komsomolskiej młodzieży, walczącej w latach 1918 — 1920 o utrwalenie rewolucji w Rosji. W 7 krótkich obrazach autor przedstawia dramatyczną problematykę owych brzmieńnych w historii lat, kiedy tak często ideaowo triumfowała nad śmiercią. Młoda gimnazystka rzuca dla idei komunistycznej ojca, dom, szkołę, środowisko, pokonuje wiele opórów zewnątrznych i wewnętrznych, zdobywa zaufanie młodzieży proletariackiej, dojrzewa i krystalizuje swe dążności, gdy tymczasem właśnie w momencie osiągnięcia entuzjazmu do nowego życia, w którym znalazła także swoją zwyczajną kobiecą miłość — ginie za sprawę. Jej śmierć potrafił autor jako element mobilizujący w sztuce i powiązał z pieśnią walczącego proletariatu.

Inscenizacja i reżyseria Romana Zawistowskiego poszła po linii monumentalności i symbolizmu. Te świadomie obraną koncepcję realizacyjną uzasadnia kierownik literacki Wydrzyński słowami w pro-



"Młodość ojców" B. Gorbatowa w Państwowym Teatrze Śląskim
Fot. B. Stapiński

Twardosz jest chyba jednym z lepszych osiągnięć tego artysty; mimo epizodyczności roli zamkniętej w sobie lichwiarza Twardosza nie zapomnimy przedko, tak był plastyczny. Inni artyści grali poprawnie co nie jest dobre, bo Wacław Zastrzeżyński mógł by swego Orgona zagrać jako serdecznie.

Oberża mało-miasteczkowa oryginalnie rozplanowana i urządzona przez Jadwigę Przeradzka; może jednak te trzy piąszczyzny (piętro z pokojami hotelowymi i balkonem, niższa kondygnacja na poziomie desek scenicznych i schody w dół) stwarzają zbyt wiele chodzenia, rozpraszając zawartość spektaklu; reżyser chciał wszyst-



WINNE BYŁY WĘGORZE

Węgory zatrzymały produkcję jednej z największych i najbardziej nowoczesnej na świecie stalowni w Europie, w Margram, port Talbot, w Szkocji.



Podczas długich godzin robotnicy zmuszeni byli wylapywać ryby, które wdarły się do rur wodociągowych, przeznaczonych do chłodzenia walcowni.

Dochodzenie ustaliło, że węgory przedostały się tam poprzez filtr jednego ze zbiorników, któremu wody dostarczał strumyk wezbrany wskutek ostatnich opadów.

BRYLANT WARTOŚCI 150 MILIONÓW FRANKÓW

Brylant wartości 100.000 do 150.000 funtów szterlingów (100 do 150 milionów franków) został odkryty w „Premier Diamond Mine” w okolicach Pre-



torii (Afrka Południowa). Kamień ten wazy 283,5 karata i jest czystszy wody. W tej samej kopalni został odkryty w czerwcu 1905 r. największy brylant świata, „Cullinan”, który wazy 3.025,75 karata.

POKRYCIE DACHU Z POPIOŁU

Pracownicy Moskiewskiego Naukowo-Badawczego Instytutu Przemysłu Maszynowego stworzyli nowy rodzaj pokrycia dachu. W charakterze materiału wykorzystano specjalny proszek, który produkuje się z popiołu otrzymywanego w centralnych elektrowniach ciepłych. Proszek taki ułożony w charakterze pokrycia przykrywa się wierzchnimi płytkami betonowymi. Powstaje w ten sposób absolutnie wodoszczelne pokrycie dachu.

Nowe pokrycie zostało już użyte przy budowie kilku domów moskiewskich. Próby wykazały wysoką jakość i wielką odporność tego pokrycia na wpływ atmosferyczny.

ZA 10 LAT PODRÓŻ NA KSIĘZYC BĘDZIE MOŻLIWA

Michał Tichonrow, członek Moskiewskiej Akademii Artylerii, oświadczył przedstawicielowi młodzieżowego pisma „Pionierska Prawda”. „Za dzie-



się lub piętnaście lat możliwe będzie odbycie podróży z Ziemi na Księżyc samolotem-rakieta wagi przeszło 1000 ton, który będzie pędził z szybkością 11 kilometrów na sekundę.

Zbyszko Bednorz



„Dozywocie” A Fredry w Państwowym Teatrze im. St. Wyspiańskiego w Katowicach
Fot. B. Stapiński

dności, z jakimi się tu zawsze spotykają ludzie teatru, polegają właśnie na nienależnym uświadomieniu sobie tego faktu. Z punktu widzenia socjologicznego Śląska publiczność teatralna jest grupą nie tak jednolitą, jak publiczność środowisk Warszawy, Krakowa lub Poznania, niemniej, dla dzisiajszych, szeroko pojętych, jakże pięknych, zadań teatru, łatwiejsza do obsłużenia aniżeli gdzie indziej, gdzie na widownię wszedł człowiek nowy, człowiek z suterenu, z przedmieść robotniczych, ośrodków podmiejskich i siadł w krzesłach obok wyrobionego teatromana inteligentnego, oczywiście dla tego samego widza piękno i rozkosz teatru są dziedzinami dopiero w trudzie zdobywanymi. U nas, w zagłębiu katowickim, dziś już nie potrzeba rozbić programów: „to dla mas robotniczych — a to dla ludzi o większym poziomie i większych wymaganiach artystycznych”. Kto w ten sposób w Katowicach układa prace, systemem dwu a nawet trzech poziomów, ten przegrywał, jeździł na prowincję katowicką, gdzie ambitne zespoły amatorskie dawały mu nauczkę: „oto dlatego, że nas nie traktujecie poważnie, sami sobie wystawiamy Fredre, Gorkiego, Kruczkowskiego”. („Niemców” Kruczkowskiego wystawił zespół teatralny Huty Zabrze i objędzają z tym przedstawieniem ośrodki robotnicze Śląska). Rzecz jasna, to poważne traktowanie wcale nie oznacza grywania tylko poważnych sztuk, postuluje jedynie jakość i odpowiedni poziom spektakli.

ALEKSANDER FREDRO „DOŻYWOCIE”. KOMEDIA W 3 AKTACH. REŻYSERIA ROMAN ZAWISTOWSKI

„ZŁOTO, złoto, tego tylko każy dzy łaknie. A ten komu go zabraknie, niech się wstydi, niech ucieka. Świat już nie zna w nim człowieka” — te słowa każe

nych na scenie. Były zatem i będą różne interpretacje tekstów fredrowskich i różne ukształtowania w teatrze. Jednakże, jeśli można dyskutować na tym, w jakim stopniu autor „Pana Jowialskiego” i „Zemsty” był realistą świadomym, z poczuciem krytycyzmu w stosunku do otaczającego go świata wykonującym swój zawód literacki, względnie w jakim śnieniu był pisarzem wyrażającym jedynie tak swoją epokę i środowisko jak ów Benvenuto Cellini, nieświadomy, mimowolny, ale kapitalny malarz swego wieku — to przecież nie można już dziś kwestionować spostrzeżenia, że w zespole sztuk fredrowskich jedne są w swej komediowości więcej, inne mniej obciążone problematyką. Oto nie boimy się zestawiać słowa problematyka z nazwiskiem Fredry właśnie gdy chodzi o „Dozywocie”.

„Dozywocie” na wzórach molierowskiego „Skąpca” oparte, jest utworem o charakterze specyficznym obyczajowo-moralnym, przy czym bardziej wyraźnie i konkretnie w „Dozywociu” niż w „Skąpcu” są ustalone elementy rzeczywistości artystycznej i bardziej ze swoim czasem, ze swoją epoką jest powiązane „Dozywocie” niż ponadczasowy, typowy zawsze i wszędzie w świecie „Skąpiec”.

Trudno się zgodzić z opinią historyków literatury, suponujących że Fredro napisał „Dozywocie” raczej dla wypoczynku, mając na warsztacie inne sztuki (powstanie „Dozywocia” zamykają daty 1829 — 1835). Zapewne, jest to utwór w zestawieniu z „Zemstą” i „Ślubami panienskimi” pod względem artystycznym, literackim — słabszy, lecz mocniejszy i cenniejszy za to z innego tytułu. Otóż, pomijając cudowny, wspaniały humor „Dozywocia”, posiada ta właśnie komedia wśród wszystkich sztuk fredrowskich wyjątkowo wielki ciężar gatunkowy, a raczej ciężar moralnościowy i stąd zaliczyć ją trzeba do najprzedniejszych pozycji Fredry.

Podkreśla Fredro wielokrotnie w utworze, że to co się dzieje to po prostu targ żywym towarem. Stosunki społeczne, rola pieniądza, łamanie charakteru, upadek najniższy człowieka — wszystko to nie na komedie, ale mogło by się złożyć na ponury dramat lub tragedię... I tak mogłyby brzmieć wyrwane z całości utworu cytaty, jak cytaty najlżejszej tragedii (np. por. rozmowę Rózi z Orgonem, scena 4 akt 3) Ale Fredro kazał się

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet

Lubelski

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Łachniak, Konstanty Lubieński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 i p. tel. 8.80 71, 8.80 26 Konto PKO — Nr 1-727. Sekretarz redakcji przyjmie: podzielnice, prócz wtorków i świątek, godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne Prenumerata miesięczna 1,80 złotych Kwartalnie 5,40 złotych Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 3190/A. 2 D-47402.